





*R. Lukowski*

2285604

10

# POEZYE

**STANISLAWA-AUGUSTA**

ИЗДАТЕЛЬСТВО АКАДЕМИИ  
НАУК И ОБЩЕСТВЕННЫХ НАУК  
САНКТ-ПЕТЕРБУРГА  
С. Петербургъ, 23. Авг. 1841.  
Печать Н. Таврич

*Львико Дервояда*

ST. PETERSBURG.  
DRUKIEM KAROLA KRAYA.

1842.



# РОЗЪЕ

ПЕЧАТАТЬ ПОЗВОЛЯЕТСЯ

съ тѣмъ, чтобы по отпечатаніи представлено было въ  
Ценсурный Комитетъ законенное число экземпляровъ.

С. Петербургъ, 23. Авг. 1841.

Ценсоръ П. Гаевскій

BIBLIOTEKA  
UNIWERSYTECKA  
w Toruniu

1260871

СПЕЦИАЛЬНАЯ

ДУКЛИНЪ КАРЛОЛЪ ПЛАХА

1841

K. 337/15

znów pokój Arfy i pioszek zaklina;  
I znów bogi w pieśń swą nieskonczoną

Hier soll einsam meine Seele trauern,

Tak ciężko.

Daleko w puszczy Arfa porzucona,  
Oddawna jedna wala się po piasku;  
Ni śladu na niej bywałego blasku;  
Żwirem i dzikiem zielskiem zamieciona,  
Więcej i więcej do głębi zapada;  
Lecz stróny jeszcze nad grób swój wynosi,  
Jeszcze do życia, do piosnek się prosi,  
Tak nieszczęśliwiec, choć go ciężka biada,  
Za obie ręce ze świata wywodzi,  
Jeszcze się za nim ogląda ze łzami,  
Wicher za wichrem z gór wyniosłych schodzi,  
I z całą siłą bije wczułe strony,  
Zatrzęsie puszcza, zahuczy lasami;  
I pod obłoki grzmi hymn piorunowy,  
Znowu się spuszcza, i już mniej surowy,  
Poważnym lotem po Arfie przeciąga,  
Szumi i szumi w jedne groźne tony,  
Niby zdąsany Naturze urąga;  
Znowu się złamie, spęta i rozwije,  
Wzmaga się, w fale rozprasza, rozrywa,  
Po strónach długo, przeciągle zawyje,  
Słabnie — i w lekki szelest się rozplywa,  
Ucicha — potem znów z góry się rzuca,



Znow pokój Arfy i puszczy zakłuca;  
 I znow dogrywa pieśń swą nieskończoną.  
 Ja jej słuchałem — a serce tak boli,  
 Tak ciężko duszy; . . . . .

O Arfo, Arfo! lepiej było tobie,  
 Ze zgonem Barda oniemieć na wieki,  
 Niż tu igraszką być na wichrów woli!  
 Gdzież owe tony, co się pełnym zdrojem,  
 Lały przez uciech i roskoszy błonia;  
 Kochanków eiche skrapiały ustronia,  
 I sławę mężów niosły w czas daleki?  
 Ich nie masz — wiecznym usnęły pokojem;  
 Miłość jak pierwej tuli się do cienia,  
 I lubej parze nuci pieśń godową,  
 I sławę żywią nieśmiertelne pienia,  
 Lecz one przeszły, nie zabrzmią na nowo.  
 O dzieci puszczy! pływcież dzikim chórem!  
 Oto wam milczy noc ciemna, noc głuchą,  
 Ziemia i niebo stoi wam otworem,  
 Słucha was ziemia i niebo was słucha,  
 I ja was słucham — jak wy opuszczony,  
 Jak wy na wolę wichrów wyrzucony.  
 Ja brat wasz, równy wam z losu i siły,  
 Jak wy ja śpiewam z pustyni mogiły.  
 Pływcie o pływcie harmonijne zdroje  
 Tutaj w samotne, biedne serce moje!

Tam — gdy przed śmiertel świat spoczywa program —  
 Pod senem sercem nowych mieszka dzieje,  
 I nowych zbrodni ogień —  
 Ty jeden za nim walczył się przed Bogiem.

Ich bin herausgegangen anzubeten;

Und ich weine?

Klopstock.

Wszystko usnęło już po dziennym znoju,  
 Od głębin morza aż do niebios szczytu;  
 Tylko ty jeden Aniele pokoju,  
 Zglujesz sobie po falach błękitu!

Wyżej i wyżej sięgasz srebrnym czołem,  
 To w lilijowym chmur toniesz potoku;  
 To znowu wolny — po czystym obłoku,  
 Lejesz promienie rubinowym kołem.

Ach tak i młodzian na życia podole!  
 Wypływa, tonie i jeszcze wypływa;  
 Jeszcze raz skrzydła wytyża sokole,  
 Nadziei światłem cmy trosków rozrywa.

Już, już — po środku bujasz oceanu;  
 Wielki! swobodny! tłumy gwiazd wymijasz,  
 Nad przyrodzenia krańce się wybijasz,  
 I stajesz u nóg Wszechmocnemu Panu.



Tam — gdy przed śmierci świat spoczywa progiem —  
Pod senném sercem nowych nieszczęść dzieje,  
I nowych zbrodni ognisko mu tleje —  
Ty jeden za nim wstawiasz się przed Bogiem.

Za tobą cisza, samotność, milezenie,  
Za tobą lubość w serce się przeciska,  
Jakichś rokoszy zdrój z piersi wytryska;  
I dusza w słodkie pada rozrzewnienie.

Z dalekich równin, gór, lasów zielonych,  
Zlekka, powolnie, tu wietrzyk powiewa;  
I rajską wonność strón błogosławionych,  
Na dzikie skały tych pustyń wylewa.

Ach! zda się jakby z mych kwiatków rodzinnych,  
Ssałeś ten nektar luby swawolniku!  
Dziś jeszcze, w kole siostrzyczek niewinnych,  
Igrałeś w moim domowym gajku.

Otoż i łezka po łezce przecieka!  
Płynicie kroplami, ruczajem łzy moje!  
Gdy tęskna dusza na zły los wyrzeka,  
Niech ją na łonie pamiętek ukoję.

Witam was drogie perły mego życia,  
Dawnego szczęścia, miłości westchnieniem!  
Jak wesół z dawnych przyjaciół przybycia,  
Stokroć pozdrawiam ich móm uściśnieniem.

Przebóg! tak losów przemoe jadowita  
Żądłem gadziny szarpie mi wnętrzności;  
Że ledwie pamięć was nieśmiała wita,  
Pierwsze uczucia, pierwszych lat młodości!

Już to nie jedna przewlekła się wiosna,  
A za nią druga, i czwarta i szósta!  
Jak ni piosenka, ni skarga żałośna,  
Przez oniemiałe nie spłynęła usta.

Chwilka po chwilę leci jak płaszyna,  
Jak iskra błysnie i przepada w mroku,  
I twój krąg świetny już blednąć poczyna,  
I gwiazd mniej coraz wygląda z obłoku.

Uchodzisz — z tobą cichość, nocne cienie,  
Już dzień wrzaskliwy twe miejsce zabiera,  
Z natrętnym blaskiem do okna się wdziera,  
I nowe w darze niesie mi cierpienia.

Uchodzisz — Burze losów niech szaleją,  
Ty zawsze zwiastuj miły pokój ziemi;  
Niech cnota płacze, występni się śmieją,  
Nieszczęśni z tobą, ty bądź z nieszczęsnymi.



Przebieg! tak losów przemoc jadowna  
 Nadem gabięć, aże mi wnetności;  
 No ledwie pamięć was niezmiała wita  
 Pierwsze uczucia, pierwsi ch lat młodości!

II.

Les fleurs, du doux plaisir sont l'emblem riant.  
 Delille.

Pełno tu ścieżek płące się bez ładu,  
 W tę, i w tę stronę kręcą się i wiją;  
 Zbiegną się, zwiążą, rozbiegną, i skryją;  
 Ani ich liczby, ni końca, ni śladu.

Lecz po cóż jedna nad wszystkie wybiega,  
 Nad wszystkie bardziej miękkie trawki zgina?  
 Czy pełźnie dołem, czy górą się wspina,  
 Zawsze ją oko, najdalej dostrzega.

To na wyścigi puszcza się z potokiem,  
 Ni ten uciecze, ani ta przegoni;  
 To znow jak sarna ulotnym paskokiem,  
 W tyle go rzuca i w gaik się chroni.

Idę doliną — a dokoła niwy  
 Falami złotych połyskują kłosów;  
 Dokoła krocie pomieszanych głosów,  
 Rok pożądany, sławią rok szczęśliwy.

Otoż i gaik — tuż za nim bez końca, w głołę I  
 Wlewo i w prawo, łąki i pastwiska, do głołę  
 Lecz ona niby ucieka od słońca, to tobie  
 Coraz się bardziej w zarośle przeciska. To tobie

To nawprost bieży, to nagle wężykiem pocznie I  
 Na bok się skręci, i z oczów przepada; im  
 Znow się pokaże, i wążkim przesmykiem  
 Pomiędzy chrusty, znowu się przekrada.

Patrzę — po ziemi rozsypane kwiatki,  
 W różne a różne kolory się mieniają;  
 Fijołki, narcyzy, róże i bławatki,  
 Precz się zielenią, bielą i czerwienią.

Oj to nie tędy droga dla rolnika!  
 Nie tędy chodzą strzelcy za zwierzyną!  
 Pewnie to kwiatki z dziewczyny koszyka,  
 Tak cię przybrały kochana drożyno.

I idę jeszcze — i tuż za leszczynę  
 Kiedy się dalej i dalej pomykam,  
 Nie parę złąkłych turkawek spotykam,  
 Ale pięknego chłopca i dziewczynę.

Kraśne jabłuszko, to lubej rumieniec,  
 Jak jasne gwiazdki świecą jej oczęta;  
 Jak ona, hoży i krasny młodzieniec;  
 Równa je wabi do siebie ponęta.



I splotą wianek i znowu rozplotą; —  
 Znow się obejmą i znow pocałują;  
 To tobie Kasiu, tobie moje złoto;  
 To tobie Janku, wzajem się częstują.

I pocznie luba coś szczebiotać, prawić,  
 Rączkami w różne ukazywać strony;  
 Luby na śnieżne łono jej schylony,  
 Pocznie śmieszkami, spiewkami ją bawić.

Teraz to, myślę, poigrać wam wolała —  
 Póki was wiosna otula gaikiem;  
 Dopóki czystym, przejrzystym strumykiem,  
 Błogosławiona, wiedzie błoga dola.

Jak niewidziany — wasze kwiatki, wianki,  
 Ja powitałem radosnym wejściem;  
 Tak niewidziany — wasze zalecanki,  
 Żegnam serdecznym, bolesnym westchnieniem.

I na swą drogę wróciłem rodzoną —  
 Ni kwiatka na niej z dziewczyny koszyka,  
 Ani nadziei jednego promyka,  
 Jak zajrzeć w przestrzeń pustą, nieprzebrnioną.

Hrasne jadruszko, to labej rumieniec.  
 Jak jasne gwiazdki świecą jej oczyma;  
 Jak ona, hojny i krasny młodzieniec;  
 Kłówna je wabi do siebie poulca.

Ach i maie kiedyś ty takie wabiła.  
 Niby to dzieweczka na calus sukrowy!  
 Na toba luba, ach za toba mila.  
 Na ogień, wode, noze **III.** wy!

I jut na skrzydła Angłów pochwycony —  
 I shall no more to sea; to sea  
 Here shall I die a-shore.  
 Wołają, nieba i wody. **Shakspeare.**

Kiedy wiatr burzą zwali się na morze;  
 I pocznie fale wyrzucać górami,  
 Biada o Nawo! jeżeli w tej porze,  
 Przyjdzie ci z jego mierzyć się siłami.

Tenże sam żywił, tak pierwej łagodny,  
 Który cię zlekka, niósł jak matka dziecko;  
 Uderzy na cię jak zbójca wyrodny,  
 I szczątki twoje drzazgami rozmięcie.

Wiek to wiekowi, dzień dniowi powiada,  
 Jednakże nawa cisnie się za nawą;  
 Oto za zbytkiem, i oto za sławą,  
 Jakaż ich wkoło skupia się gromada!

Nadziejo pusta, nadziejo kłamliwa,  
 I kiedyż świata hymny ci nie brzmiały?  
 Dla ciebie we łzach i we krwi on cały,  
 I Niebem gardzi i Piekło wyzywa.



Ach i mnie kiedyś ty także wabiła,  
Niby to dziewczę na całus cukrowy!  
Za tobą luba, ach za tobą miła,  
Na ogień, wodę, noże i okowy!

I już na skrzydła żagłów pochwycony —  
Precz z oczów pola, i lasy, i grody!  
Za mną, przede mną okrąg niezmierny,  
Wody i nieba, i nieba i wody.

Dnie po dniach lecą, i całe niedziele,  
Jak gdyby piłką z rąk silnych ciskane;  
I ja za niemi, przez morskie topiele,  
Z przestworów pędzę w przestwory nieznane.

Łęce i lecę, a bezdenne głębie  
Wciąż się w bałwany sine rozściełają,  
I bezgraniczem wciąż mię oblegają,  
Po nieprzejrzanym, bezdrożnym obrębie.

Ale gdy długie nieskończone lata,  
Przyszły daremne zapasy wysmiewać;  
Jak ciężko wzgardą, szczery żal odziewać,  
I żywą nogą deptać dobra świata!

Nadzieje pusta, nadzieje kłamliwa  
I kiedyś światła hymny ci nie przyniosły?  
Dla ciebie we śniech i we krwi on cały  
I Niebem gardzi i Piekłem wyrywa.

IV.

Kann nichts dich, Fliehende, verweilen,  
O meines Lebens goldne Zeit?

Schiller.

Płyn, płyn mój źródłu, płyn mój wieku młody!  
Niechaj się tobą nacieszę dowoli!  
Tyle to dla mnie i szczęśliwej doli:  
Co się wpatrywać w twoje jasne wody.

Kiedy mi straszne widmo przeznaczenia,  
Ciągłe ze wszystkich stron w oczy zachodzi;  
Zimna, skostniała ręka doświadczenia,  
Po ścieżkach łzami i krwią zlanych wodzi:

Ja się odwracam, ja się rwę do ciebie,  
Zdroju mój luby, ty mój wieku młody!  
Patrzę i patrzę, na twe bystre wody,  
I gorzkie żale w twoich falach grzebię.

Gdy cała przeszłość z pamiątek urokiem,  
Jak gdyby żywa, tuż przede mną staje:  
I wabi latek czarownych urokiem,  
I pieśń dziecinną do ust mi podaje:



Ach! wtenczas lecę, tulę się do ciebie,  
Zdroju mój luby, ty mój wieku młody!  
Chciałbym się rzucić za twe bystre wody:  
I szukać zbiegłej niewinności w Niebie.

Lecz bez Anioła piór jej nie dogonić,  
Mnie tę niebiankę nie przykuć do ziemi:  
Ni ją od grozy namiętności schronić,  
Ni ją zabawić myślami świętymi.

Gdy dzieje wyjdą z pod wieków osłony,  
Poczną drogiemi pysznić się klejnoty,  
Swe syny sławić, ich dzieła, ich cnoty,  
I hymn w ich pamięć zabrzmią nieskończony:

Ja wtedy słuchać i rwać kwiatki lubię,  
I na twe wody rzucać luby zdroju;  
Płyną i płyną kwiateczki w pokoju,  
Dalej i dalej, i z oczów je gubię.

Młodości moja! przez życia bezdroże,  
Ni tobie celu, ni kresu, ni miary —  
Błądź sobie wolno. Kłamię przesąd stary;  
Że stałość wszystko pokonywać może.

Niechno ją promyk szczęścia nie prowadzi;  
Ciężki trud krwawym obleje ją potem;  
Niemoc dobieje ostatecznym grotem;  
Litość na grobie, zwiędły kwiat posadzi.

O niech słońce z góry, zaświeci tysiące,  
Na gody głupstwu, ślepotcie i pysze!  
Niech rzeki mléką i miodem płynące,  
Usłużna ziemia z piersi im wydysze!

Ty zdala od nich, o zdala mój zdroju!  
Gdzie wrzask kłutliwej rzeszy nie przewodzi,  
Gdzie cisza w pustyni gubi się pokoju,  
I gwiazda błędnej nadziei zachodzi.

Płyn, płyn samotny, płyn zdroju jedyny!  
A wicher wyje, i pustynia szumi;  
Wicher, pustynia, jęku nie przytłumi,  
Co się wydziera z pod twojej głębiny.

Oto tam róże, fijołki i lilije!  
Tam wdzięki, miłość i roskoszy sady!  
Serce się w sercu, tam rozplywa, bije,  
I słodkich chwilek zielenią się ślady.

A tu myśl jedna, sroga, niestrudzona,  
Głębiej i głębiej do piersi się wpija;  
Smuci, zachwyca, wskrzesza i ubija;  
Gaśnie i świeci przyszłością omglona.

Tu mi, pod kłatwą wyroków więzione,  
Tęskne godziny zaledwie się wloką;  
Pieszczone słówko, ni lubieżne oko  
Z gwarnych podwojów, nie zajrzy w tę stronę.



Nieba! o spuście choć kropelkę rosy,  
Na życia mego wypaloną niwę!  
Choć jeden uśmiech, o Bóstwo życzliwe,  
Z dziewiczych ustek, zlej na moje losy!

O love! young love! bound in thy rosy band,  
Let sage or Cynie prattle as he will.  
These hours, and only these, redeem life's years of ill.

Byron.

Gdyby mi Anioł oddał skrzydła swoje,  
Weź je rzekł: odtąd nie ziemia twym domem,  
Gdzie gniewna burza przechadza się z gromem,  
Tam w nowe, cudne życie cię ustroję.

I wszystkie końce świata, jak na dłoni,  
U nóg twych pełzną — Gwiazdy ci u boku —  
Przeszłość i przyszłość jednem światłem płonie,  
I chóry duchów pieją ci w obłoku.

Wyższy nad wszystko, ty wszystkiego, panem!  
I wielki dumą, większy własną siłą,  
Npd pomroczonej ludzkości mogiłą,  
Swobodny — bujasz błyskawic rydwanem

I gdyby piękna jak anioł dziewczyna,  
Wierne serduszko przyniosła mi w darze:  
Odtąd ja z tobą, a ty ze muą w parze,  
Taż sama pójdzie przez świat nam drożyna.

I pójdzie, rzekła: w ustronną dolinę,  
Gdzie tylko słońce odwiedzi nas w ranek;  
I wypieszczony na kwiatach kochanek:  
Lekki sen zleci w pokoju godzinę.

Tam na mém łonie odżyją wspomnienia,  
I dawnych latek odżyje wesele,  
Ja, twe marzenia, w jasne dni rozscielę:  
Przyjaźni, sławy, miłości marzenia.

O wtenczas, gościu niebios wiekuisty!  
Odnies na niebo twe wysokie dary!  
Żądze bez miary, uczucia bez miary,  
Luba! ja zlewam w twój całus ognisty.

Luba ja z tobą — niech lata nad nami,  
I całe wieki, niech sobie przepłyną:  
My zawsze w parze, zawsze z sobą sami,  
Z tymże pokojem, z tąż samą doliną.





VI.

Wie schön ist alles! und wie froh  
Und glücklich macht uns die Natur!

Kleist.

Otoż i wieczór powoli nadchodzi!  
Ni jedna chmurka obłoków nie plami;  
A słońce tonie w ognistej powodzi,  
A jasne gwiazdki wschodzą za gwiazdkami.  
O! idzie wieczor cichy i pogodny,  
Jakby niewinnej dziewczyny wejrzenie!  
Idzie roszkoshny, lekki i swobodny,  
Jak pierwszych latek młodzieńcze marzenie!  
Jak się nie sroży jasny dzień nade mną:  
Choć czarnych myśli zarzuca mię gradem,  
Chociaż rozpaczą oprowadzi ciemną;  
Nadchodzi wieczor — ja za nimże śladem,  
Rzucam się w twoje pokoju objęcia!  
I tak mi wtenczas, i dobrze i miło:  
Jak dla słabego po płaczu dziecięcia,  
Gdy się do matki piersi przytuliło.  
I patrzę wkoło niby odrodzony,  
Też same brzegi pod szarą powłoką,

Nęcą do siebie i serce i oko;  
Dla nich, mych uczuć skarbiec otworzony!  
Morze, o morze! daj mi twe ramiona,  
Jednym objęciem, niechaj świat opaszę!  
Do kamiennego niech przyglnę mu łona,  
Pożerczy ogień w tych piersiach ugaszę.  
Teraz to, teraz — co na serca spodzie  
Tai się, gubi w niedościgłym mroku,  
Co tam urosło, co zwiędło w zarodzie,  
Przyjazni, twemu odsłoniłbym oku!  
Luba! na białe twe rączki schylony,  
O jakbym mówił łzami, westchnieniami!  
Daremne żądze — w które zwrócę strony,  
Fale i fale gonią za falami.  
Bez końca, w puszcę rozscielone długą,  
Ciągnie się długie, nienawistne życie,  
Tylko mogiłę oczy me ujrzycie,  
Co się na kraju, czarną widni smugą!  
Niechże się widni, i urasta górą,  
Całe obłoki niech zasłoni sobą,  
Tylko ty jedna rozjaśń twarz ponurą,  
Jedyne dobro, ty moja ozdobo!  
O wyobraźni! nad samotną głowę,  
W niebo się wschodu rozwieszaj, rozświecaj,  
W Edenu gaje, łąki się rozkwiecaj;  
I w wiecznej wiosny, strój suknie godowe!  
Cudo nad cuda! o kraju nad kraje!  
Kto ci panuje — temu wiek szczęśliwy;  
Lecz jak daleko lot twój niedostaje,



Jeden od ziemi powiew zaraziwy,  
Rozrywa w sztuki twe cuda i czary.  
Strażony z góry — padam na obszary,  
Ziemi! twych synów przeklęstwem usiane;  
I znow w twych szponach losie jadowity.  
Do ciebie serce, dobro zapomniane!  
Do ciebie idę, boleścią przebity;  
Ty bądź mi światem, ojczyzną, rodziną;  
Niewiarę, w wiarę żywiącą rozpromień,  
Mąk i roskoszy, zlewaj płomień w płomień,  
Kolebką szczęścia, bądź szczęścia ruiną;  
I będziesz we mnie, a ja będę w tobie:  
Robak w robaku, proch w prochu, grób w grobie.

VII.

Had I been any god of power, I would  
Have sunk the sea within the earth.

Shakspeare.

O morze, morze! jakaż moja wina,  
Że bez oddechu, tak gonisz mię długo?  
Oto już ósme lato mi poczyna,  
Przez twoje fale, rznąć się krwawą strugą!  
Były te czasy — gdy na Ukrainy  
Szerokich błoniach, jam tęsknił do ciebie!  
O z moich marzeń, najstarsze po niebie!  
Jam z wzgardą deptał kwieciste równiny,  
A dań podziwu tylko tobie dawał,  
Ciebie za głowę żywiołów wyznawał.  
Jak się rodzinne nie stroiły sady,  
Jak czułym szmérem nie nęciły zdroje;  
Jam im nie wwierzał duszy niepokoje,  
A zdąsanemu leciał sercu w ślady.  
Mi się zdawało — I czegoż nie widzi,  
Tej wyobraźni stóokie wejrzenie?  
Co się naturze i we śnie nie bredzi,  
To ona lepi na człeka skinienie.



Mi się zdawało — że przed twoją chwałą,  
Ubogiej ziemi padać na kolana,  
Gdy w niezmierzone zwierciadło rozlana,  
Twa przestrzeń z pychą roztoczy się całą,  
I chór powiedziesz, z piorunów łoskotem;  
I moja dusza pójdzie tymże lotem,  
I moje pieśni w też tony zawtórzą.  
A teraz! patrzę, jak ów wytrzewwiony  
Żebak, co w pijanym swej głowy zawrocie,  
W rzekach win pływa, wala się po złocie,  
A potem stęka nędzą okolony.  
Patrzę i patrzę na twe sine wody,  
I żegnam szczęścia niepoczęte gody!  
O Morze, morze! za co mię tak gonisz?  
Jam nieuragał twych rozbojów chwale,  
Ni kupczą myślą mierzył twoje fale,  
A ty dnie moje, jak swą własność trwonisz!  
Ja przyjaźń, miłość, i młodość, i zdrowie,  
Jak kamień, w twoje cisnąłem bałwany;  
A teraz stoję ciężko ponękanym,  
I darmo łzami, do siebie je zowią.  
Darmo — do twego przyrośnięty brzegu,  
Zdna niewypłaczę przeszłych dni pogody.  
Drugi świat kości twe głębie zalega,  
A wierzech z wiatrami nosi się w zawody.  
Orzeł wylata — i ginie w błękicie.  
Kto się oddali tak od oczów ziemi? —  
Człowiek — gdy zbrojny żądzami śmiałemi,  
W twą otchłań, harde uprowadza życie.

Lecz orzeł wyżej, wyżej się wybija,  
Lubo mu z słońcem, bratać się z gwiazdami;  
A człowiekowi, tęskno za polami,  
Gdy się twój przestwór bez końca rozwija.  
Ach! i mnie znana ta czarna tęsknota,  
Co to na serce, grubą mgłą osiada,  
Wysysa krople ostatnie zywota;  
A potem sama we łzy się rozpada.  
Zaledwo wiosnie skowronek zaśpiewa,  
Już ty z pod lodu wyzierasz na nawy;  
I wabisz chytrze do skarbów, dosławy —  
Prężą się żagle, bandera powiewa,  
Zaszumił masztów bór, działa zagrzmiały;  
I bywaj ziemio, całe lato zdrowa!  
Brzeg się z wieżami za obłoki chowa,  
I tylko wody, obłoki zostały.  
Idą dnie po dniach, niemocą spętane,  
Wszystkie jednakie — jakby piekiel darem,  
Razem na jeden obraz wykowane;  
I ciężą duszy wszystkich mąk ciężarem.  
Idą dnie nudne — jak dnie pustelnika,  
Kiedy z okrutnym światem się pokłuci,  
I niespokojne — jak dnie niewolnika,  
Kiedy okrutny świat jego odrzuci.  
O Morze, morze! ja cię nienawidzę.  
Czy się rozigrasz w góry zapienione,  
Czy się pod słońcem grzejesz rozscielone,  
Ja z twojej krasy, z twego gniewu szydę.  
Tyś ziemi rzekło w pierwszy dzień stworzenia:



Siostro! ty będziesz rodzić, a ja gubić;  
Tobie się z życiem, mnie z śmiercią zasłubić.  
Rzekłós — i w pośród przeklęstw przyrodzenia,  
Wiatry raz pierwszy zawyły w twe słowa.  
I ja klnę ciebie, dopóki mi głowa  
Nad twe bezdenne wystaje topiele;  
Klnę ciebie klątwą niebieską, piekielną,  
Co dotąd tleje w Sodomy popiele;  
Klnę ciebie klątwą wiekami rzuconą,  
Potopem wszystkich wód twych niezgaszoną,  
Jak ty niesytą, jak ty nieśmiertelną.

VIII.

So dear I love him, that with him all deaths  
I would endure, without him live no life.

(Paradise lost Book IX.)

Milton.

Jak ja cię kocham lilio, lilio!  
Niechaj wszystkie kwiaty społem,  
Zalśnią nieprzejrzanem kołem,  
Niech się w rubiny, brylanty rozwija

Niech w żywych gwiazdek rozłocą się żniwa;  
Ty pomiędzy pięknych kołem,  
Najpiękniejszym widna czołem,  
Bielejesz krasą anielską szczęśliwa!

Lilio! kiedy cię ujrzę na łące:  
Zawsze mi jedno spojrzenie,  
Obudza jedno marzenie;  
I jedno w sercu uczucie drzemiące.

Budzi — i w moment niby z piany morza,  
Druga Wenus mi wypływa,  
Z wdzięków, w wdzięki się rozlewa;  
I świeci błogiej niewinności zorza.



Lilio! ona jakby ci siostrzyczką.  
Także skromna, niezmazana,  
W taką sukienkę ubrana;  
Ze śnieżnym łonem, i taką twarzą.

Wzdyma się łono, twarzą rumieni,  
Taka z ustek technie pęta,  
Lubo patrzą tak oczęta,  
Ze, i twarz moja w tysiąc farb się mieni.

Zaledwo młode zaświtały lata,  
Jam rzucił myślą i okiem,  
Rzucił po świecie szerokim,  
I tyłkom ciebie pożądał od świata.

O! zejdź na ziemię kochana dziewczyno!  
Bez ciebie przeżyć mi trudno,  
Tak posępnie i tak nudno,  
Bez ciebie chwile nieproszone płyną.

W czarną godzinę, duchem zbuntowanym,  
Gdy sławę, mądrość wysmiewam,  
Z uludy szczęście wyrывam,  
I po szkielecie depcę wygwizdanym:

Kiedy wiatr lichą roznosi mamonę,  
Ty tylko jedna mi droga;  
Po nad wszystkie dary Boga,  
Unosisz wyżej, dziewiczą koronę.

Kiedy dni strasznych stai nie odgonię,  
Tak że mi stałość pokruszą,  
Tak zawichrzą moją duszą,  
Ze chyba grobem od nich się zasłonę —

Ty się pojawisz — i ja żyję, wzdycham,  
Znow dumny z ufności, siły,  
Od podeptanej mogiły,  
Za tobą miła, tęsknę i usycham.

Ach! ja to niegdyś marzyłem tak wiele!  
Ja samo niebo z świętymi,  
Chciałem przychylić do ziemi;  
Tam to mi przyszłe i rośło wesele!

Jak z drzewa liście w jesieni upada,  
Tak marzenie, po marzeniu,  
Tak wspomnienie, po wspomnieniu,  
Nieszczęśliwemu, z cicha się wykrada.

Już ich tak wiele ze mną się rozstało:  
Niechciały w parze z troskami,  
Napawać się memi łzami;  
Poszły — to jedno tylko ocalało.

Często mię dziewczę białą rączką wita,  
W sukieneczce lilijowej,  
I w przepaseczce różowej,  
Lilią śnieżną tak hożo rozkwita! —



To w całej krasie lubieżnie wyblęska,  
To się kryje za obłoczek,  
To znowu światło jej oczek,  
Tak słodko, miło, w serce się przeciska.

**IX.**

Und es wallet und siedet und brauset und zischt,  
Wie wenn Wasser mit Feuer sich mengt.

Schiller.

Co mi po arabskich koniach,  
Co mi po szerokich błoniach.  
Równe, nierówne, niech się ciągną błonie;  
Niechaj arabskie tam harcują konie —  
Niechaj tumanem kurzu zasypane,  
Gonią się jezdnych rotę zaziajane;  
I białe kity wieją ne kołpakach,  
I złote cyfry błyszczą na czaprakach.

Ot! u brzegu kopie wody,  
Rwie się, ciska bat skrzydlaty,  
Komu lecić z nim w zawody?  
Kto tak w siłę, pęd bogaty?

Kto tak cwałem, tak galopem,  
Nad głębin pójdzie zatopem:  
Jak on, gdy na wiatr wybieży,  
I w wszystkie skrzydła uderzy.

Dwanaście skrzydeł, z dwóch stron on roztoczy,  
Kiedy mu przyjdzie zeprzeć się z falami;  
I w górę czterma powieje skrzydłami,  
Kiedy w tęż drogę, zadmie wiatr ochoczy.

Już dmie i pod siebie chwyta,  
I pomiata nim jak piórem,  
Pędzę, lecę; a przestworem,  
Wre i kipi piana wzbita.

Rudel w lewo, rudel wprawo,  
Batem zwraca i osadza,  
Jak rumaka lekko, żwawo,  
Wprost, na ukos naprowadza.

Wietrze bracie, jeszcze chyżej!  
I wiatr z trzaskiem, świstem, szumem,  
Poniosł się bałwanów tłumem —  
Wietrze bracie, jeszcze wyżej!

I wiatr z boków, z tyłu, z przodu,  
W gmachy, wieże wzdyma wały;  
Strasznym kręgiem od zachodu,  
Wały bat mój obegnały.  
Rosną, rosna i przez żagle,



Rozbryzną się dészczem nagle.

A brzegi szczęściu milami,

Rozepchnięte w oba boki,

To się rzuca pod obłoki,

To się schyla pod nogami.

Otóż widok nad widoki!

Jak gdyby z morza zgrzybiałego łona,

Drugie się w młode chce rozlać potoki:

Jakby mu ciasna przestrzeń nieskończona.

Ach! i pierś moja tak się rozplómienia,

Tak się sciska, tak rozrywa,

Jak gdyby z serca, serce się dobywa;

I bije tylko dla mordów, zniszczenia.

Morze! zaledwo nad tobą przebrzmiały,

Kłątwy mej ostatnie słowa!

Znów się poklaski z tychże rąk rozdały;

Z tychże ust idzie, tobie chwała nowa.

Tak chociaż widzi swej lubej niewiarę,

Ten, co w jej oczek błękicie,

Przepatrzyłby wieczne życie;

Za jedno rączki ściśnienie,

Oddałby duszne zbawienie:

Widzi miłości zdeptaną ofiarę;

I klnie się stokroć, zapomnieć obłudną;

Fraszki przysięga — zapomnieć jej trudno.

Jedyném słówkiem, uśmiechem, wejrzeniem,

Ciężka jej wina, z serca mu wywiana,

Piękna, jedyném paluszka skinieniem,

Znow na wytarte stawi go kolana.

X.

Did I request thee, Maker, from my clay

To Mould me Man?

Milton.

Mały robaczek z własnego łona,

Nitkę po nitce wywleka;

I coraz gęściej, wkoło ramiona,

I drobną główkę obleka.

Choć tyle drugich robaczków braci,

Domków sobie nie buduje;

On jeden chwilek darmo nie traci,

I tylko snuje i snuje;

I bezustannie, i tak długo snuje,

Aż się w jedwabnym grobie zamuruje.

I moja dusza, myśli za myślami,

Wysnuwa z siebie, wyplata,

Coraz grubszemi obwita pasmami,

Głębiej się skrywa od świata.

Robaczek prędko całun swój rozrywa,

Motylem leci na pola;

Jemu to łąka w kwiaty się rozplywa —

Niebo, wietrzyk, złota wola!



Lecz mojej duszy, nieprzebić opony,  
Utkanej cierpień latami;  
Jej wchód do światła czterokroć zamknięty,  
Czterema piekiel rękami.

Niech się noc z nocy, rozciemnia bez granic,  
Lubię ją — jak mroźnej północy mieszkaniec,  
Lubi swe lody i śnieżne zawieje,  
Jak lubi dziki swoje bagna, knieje.

Ciemność, ciemność! ja cię lubię,  
W twojem się łonie macierzyńskiem gubię!  
Na słońce z nieba pustego wyparte,  
Nie patrzaj duszo — ono ci nie wschodzi.  
Świeć sama sobie — póki nierozdarte  
Serce, po zgłiszczach pamiątek cię wodzi.

Oto równiny, gaiki,  
Górami kwiatki, dołem kwiatki;  
Górami idą sady, chatki,  
Dołem łąki i strumyki.

Z jutrzeńki pierwszym promykiem,  
Skowronek piosnkę zagrywa;  
I ostatnie nóty zlewa,  
Z kochankiem nocy, słowikiem.

Niby mówią, niby proszą,  
Zostań z nami, zostań z nami;  
Niby nęcą mię roskoszą,  
Wabią i wabią pieśniami.

Zostań, zostań, serce mówi,  
Tutaj przyłgnij kornym duchem;  
Tu miłości w cieniu głuchem,  
Tutaj gniazdo pokojowi.

Bez cierni, głógów nacisku,  
Tutaj siołkiem się rozścielisz,  
Pracą z mrówką się podzielisz,  
W współbraci twoich mrowisku.

Lecz po coż iskry, w urodzenia chwile,  
Rzucone w piersi grzesznika,  
Tleją; i jeszcze na jego mogile,  
Siłą się błysnąc z pomnika.

Po coż rękami schwycione nadzieje,  
We mgłę marzenia, tak toną głęboko?  
Czemu rozchodzi ta mgła tak szeroko,  
Że całe życie przed nią pociemnieje?  
Jak groźną chmurę, wiater ją przynosi,  
Ale jak przyniósł, tak ją nieroznosi.

Patrz duszo! oto ognistym kolosem,  
Nad proch ludzkości wznosi się mąż nowy;  
Ramie mu zbrojne stu piorunów ciosem,  
A głowę wieniec obwodzi laurowy.  
On myśl olbrzymią, ciska pod obłoki,  
I za nią burzy porywa się lotem;  
Pod szczękiem mieczów, tam pod dział łoskotem,  
Wiodą go Niebios okropne wyroki.



Już ją dosięga — jak zawidać okiem;  
Krwawym po ziemi rozlał ją potokiem.  
Głowy narodów u jego podnóża!  
A nad nim tylko moc Boża!  
Patrz! oto młodzian, jak ranek majowy,  
Jak anioł piękne dziewczę mu u boku;  
Tyle pogody, miłości mu w oku;  
A głowę wieniec obwodzi mirtowy.  
Pierwiosnek uczuć, z najpierwszém westchieniem,  
Ona mu w pierwszym całusie wyllała,  
Z pierwszym usciskiem, wyrazem, wejrzeniem,  
Czułe serduszko na wieki oddała.  
Odtąd nad domkiem, ogródkiem, altanką,  
Dzionek po dzionku im rajem rozkwita;  
Jak się pożegna z kochankiem, kochanką,  
Tak znow w objęciach, słodko ich powita.  
I płyną parą rokosznych łabędzi,  
Przez dwójne życie w jeden strumień zlane,  
Doliną, z jednej do drugiej krawędzi,  
I mrokiem gęstych gajów opasane.  
Patrz jeszcze! oto na kamień grobowy,  
Strudzony drogą pielgrzym się opiera;  
Posępna rozpacz z oczów mu wyziera,  
A głowę wieniec obwodzi cierniowy.  
Gdzie wyobraźnia dolata namiętna,  
I najwznioslejsza z myśli się rozwija,  
Tam on dosięga — i szydercze piętna,  
Na czoło sławy, miłości przybija.  
Za życia jeszcze, na pastwę robaków,

On bez żalności serce swe oddaje;  
Wśród wypalonych sprzecznych, uczuć znaków,  
Tylko mu zimna pogarda wystaje.  
Nie jedno przeszedł on morze i ziemię,  
Wiedziony brudną nicią przeznaczenia;  
Teraz przychodzi niepokojów brzemie,  
Złożyć na wieki u tego kamienia.  
Kamieniu! Kamieniu! przyjmij mię zawoła!  
Kamieniu, kamieniu! brzmi echo dokoła.  
Głowę opuszcza na ręce zemdlone,  
I spada, tonie w dumy nieskończone.  
Duszę mu ciężkie rozdziera westchnienie,  
I jeszcze stokroć cięższe przypomnienie.  
»Gdzież ślady owej woli nieugiętej,  
»Co z samém piekłem poszłaby w zapasy?  
»Gdzież owe drogie, niezwrócone czasy,  
»Ufności, wiary, niewinności świętej?«  
Pielgrzym nie widzi, pielgrzym nie słyszy,  
Usta mu drgają konwulsyjnym drzeniem;  
I w posród nocy, i w posród ciszy,  
Zajęczy smętnym, przerazliwym pieniem.  
I długie, długie rozwodzi on jęki;  
Potem coś mruczy, coś scepce, przymawia;  
I znowu jęki rzucone ponawia.  
Było to w kształcie jakiejś piosenki,  
Nigdy, i nigdzie w świecie niesłyszanej;  
I nigdy z piersi ciężej ponękaney,  
Nie wyszły skargi tak dzikie, bolesne,  
I niestety, tak niewczesne!



O ludzie, bracia! ni jednego słowa,  
Ja z tej piosenki, nie chcę wam powtarzać;  
Nie chcę daremnie was jadem zarażać,  
Jakiego, i pierś niezniesie stalowa.

Do ostatniego gdy przyjdzie momentu:  
Jedynę dziecię do grobu spuszcza;  
Pierwszą garść ziemi na trumnę rzuca;  
Słuchajcie matki nieszczęsnej lamentu!  
To jeden paciorek, z rozańca Pielgrzyma —  
Kiedy sierota z wpadłemi oczyma,  
Po pustych dla niej błąka się ulicach,  
A łzy jej marzną po skostniałych licach:  
Słuchajcie pisku biednego stwerczenia!  
Kiedy las kopij, burzą się rozszumi,  
I wrzask tysięcy, w rzęce krwi zatłumi;  
Słuchajcie hucznej muzyki bez drzenia!  
Wszystko to paciorki z rozańca pielgrzyma,  
Jakich, żaden organ, lutnia, arfa niema.  
One oddawna wpiły się mi w uszy,  
I brzmią dniem, nocą, rankiem i wieczorem;  
Niebo ich niebios, ztamtąd niewygluszy,  
Wszystkich Aniołów, Archaniołów chórem.  
Zda mi się zawsze — ot! widzę pielgrzyma,  
Ot! patrzy na mnie obiema oczyma:  
Rys jego każdy, każde poruszenie,  
Głębiej i głębiej do piersi się wrzyna.  
Dobry człowiecze! czy Boskie zrządzenie,  
Czyli też własna potępia cię wina?

Czy też dziedziczne ojców twoich grzechy,  
Do szczętu wszystkie wytruły uciechy?  
Nigdyż z ust lubej, uśmiechu, spojrzenia,  
Nie piłeś czarnym troskom zapomnienia?  
Nigdy — nigdy odpowiada.

**XI.**

Gedenke nicht der Freuden! allzuherben Leid's  
Unendlichkeit ergoss sich über Brust und Haupt

Goethe.

I tu mury, i tam mury,  
Pną się, ciągną wzdłuż, do góry;  
Ledwie można wolnem okiem,  
Z jasnym witać się obłokiem.

A tu w oknie stérczy krata,  
Od łez ludzkich pordzewiała,  
Co uśmiechu niewidziała,  
Nigdy od początku świata.



Po szyldwachu, szyldwach woła,  
Co godzina, co minuta;  
Z kopij, szabel ściana kuta  
Brzęczy, błyszczy dookoła

Tak mi tęskno, tak mi nudno,  
Tak mi cięży nieszczęsę brzemie,  
Tak zapomnieć lubej trudno:  
Ze pszepaćbym rad pod ziemię.

Duszo moja, serce moje!  
Powiedźcie mi łzawe zdroje:  
Wolność droga, wolność święta,  
Czy na wieki mi odjęta?  
Serce bije po kolei,  
To rozpaczy, to nadziei.  
Tak jęczał więzień nad brzegiem Garony,  
Z serc, i z pamięci ludzi wyrzucony.  
Dobra Garona, przez spienione fale,  
Niesie i niesie gorzkie jego żale;  
Ona je niesie do miłej serduszka,  
Ona jej cicho poszeptnie do uszka:  
»Twój miły żyje, twój miły żyje,  
»Prędko wam szczęścia godzinka wybije.  
Tak jęczał więzień nad brzegiem Garony,  
Z serc i z pamięci ludzi wyrzucony.  
Dobra Garona popiętrzone waly,  
Pędzi stajami ponad dzikie skały;  
Garona kipi i huczy i szumi,

I wszystkie więznia wyrzekania tłumi.  
Szlachetna rzeka! Tuż na góry czole,  
Baron się w pysznym zamku rozwieliżył,  
On wrogiem jego — Młodą jego wołę,  
On liczną strażą dokoła obłożył.  
Ale daremnie, krwawą zemstą dyszy,  
On jego jęków, jego skarg nie słyszy.

**XII.**

Noch einmal möcht' ich, eh' in die Schattenwelt  
Elysiums mein seliger Geist sich senkt,  
Die Flur begrüßen, wo der Kindheit  
Himmlische Träume mein Haupt umschwebten.

Matthisson.

Kiedym ja chłopca jeszcze nieprzerastał,  
I w głowie jeszcze kiedy zieleniało;  
W te święte czasy, o nic się niedbało,  
By tylko dzionek pogodny mi nastał.



Wiosna i lato, każda roku pora,  
Niesie po cacku, po nowym gościńcu;  
Zawsze od rana, zawsze do wieczora,  
Pełno hałasu, wrzawy po dziedzińcu.

Nadchodzi zima — ja stawię siodelka,  
I tuż czatuję u płotu schylony,  
Dwie, trzy minuty — i ptaszek schwycony;  
Zdradna nie lotne krępuje skrzydelka.

Szczygły i ziemby, czyżyki i kosy,  
Tuż popadają od sideł do klatek;  
I biedne więźnie, z za drócianych kratek,  
Wywodzą tęskne, melodyjne głosy.

Ponad starego Oceanu fale,  
Syreny nie tak rokosznie śpiewały,  
Jak one, kiedy harmonijne żale,  
W różne, a różne tony szczebiotały.

Skoro myśliłem, niewiniątka moje,  
Wrócę wam drogą, ukochaną wolę!  
Niechajno z wiosną rozpuszczą się zdroje,  
Niechno się lasek, zazieleni pole.

I kiedy przyszło Pańskie Zmartwychwstanie,  
Jeszcze się całkiem nie rozjasnił ranek,  
Już niosę klatki, klateczki na ganek;  
Nastaje czułe z więźniami rozstanie.

I jedne drzwiczki po drugich otwieram,  
Wypuszczam jedną po drugiej ptaszynę,  
Szczęśliwa droga, w szczęśliwą godzinę!!!  
I jedną łezkę, po drugiej ocieram.

Ocieram łezkę i teraz, choć ptaszki  
Dawno, dawno odleciały,  
Chociaż od serca tęsknego igraszki,  
Dawno, już dawno odstały.

Ocieram łezkę — lecz nie tę co splywa,  
I krami lica, i wyjaśnia oczy;  
Lecz tę co bladość śmiertelną roztoczy,  
I życia zaród ostatni podmywa.

O Morze, morze! puść i mnie ptaszynę!  
I ja polecę w luby kraj daleki;  
Ja twoje imię w najpóźniejsze wieki  
Niezwiędłym laurem obwinę.  
Ja powiem rzekom, potokom, strumieniom,  
Wielkości twojej niedorosłym ceniom:  
»Marne kałuże, po tułowiu ziemi,  
»W liche żyły rozwiedzione!  
»Wam wiecznie pełzać drogami karłemi,  
»Przez doły wam wyżłobione!  
»Tam to popatrzcie! jak morze się wzdyma,  
»I samowładnie, w koło się rozlega!  
»Do chmur górami balwanów dobiega,  
»I świat, jak dziecię na swem łonie trzyma.



»Zechce — i w jasny błękit rozścielone,  
»Przed niebem, w drugie niebo się rozwije;  
»Zechce — i w wszystkie wichry uzbrojone,  
»Struchlałą ziemię zatopi, rozbije.«  
**O Morze! puść mnie! — Pańskie zmartwychwstanie**  
Już nieraz przeszło, i powraca znowu;  
A ty, nadęte z chytrego połowu,  
I baczyć niechcesz na moje wołanie!  
Puszczaj mnie, puszczaj! — ja niechęć z słowikiem,  
Wywodzić tkliwe rozkochanym trele;  
Ni ponękany duch mój rozweselę,  
Nad bogactw, sławy, potęgi pomnikiem.  
Ja ztąd ulecę na szczyty syonu,  
I tam — z pod ruin Izraela tronu,  
Wygrzebię Arfę Dawida.  
Ona mi jeszcze dawne tony wyda,  
Na przeszłych wieków zmartwychwstanie,  
I na przyszłych powitanie.

Wywołam Proroków cienie,  
Przed grób Boga Zbawiciela;  
I hymn pod niebios sklepienie,  
Zabrzmię rozpaczy, wiecznego wesela: —  
Jak ten, co zabrzmi dla świata,  
Na dolinie Jozafata!

**XIII.**

So bleibe doch noch einen Augenblick,  
Um mir erst gute Mähr zu sagen.

«Faust.» Goethe.

Jechał pan, wielki pan,  
Hetman czy Kasztelan;  
Za nim, przed nim dziarska, strojna,  
Pędzi świta huczna, zbrojna.

Szumi bór, gęsty bór,  
Zaciemnił się od chmur;  
Idzie północ z nawałnicą,  
Z wichrem, gromem, błyskawicą.

Późny czas, groźny czas,  
Hej chłopaki który z was!  
Rozweseli mnie piosieczką,  
Czy powiastką, czy bajeczką.

Dobrych, wiernych, czujnych sług,  
Pełnić rozkaz pierwszy dług;  
Powićś Panu tuż gotowa,  
Tylko słuchaj mego słowa.



Wśród królestwa, czy to Xięstwa,  
Sławnego z swarów i męstwa,  
Gdzie do syta było woli,  
Mało statku, dobrej doli.

Na rozdrożu tam wysoki,  
Dąb jak Ziemia matka stary,  
Porozciągał się w konary,  
I oparł się o obłoki.

Pod tym dębem, tam grób z krzyżem,  
A w tym grobie rycerz leży:  
W Żelaznej cały odzieży,  
Z szablą, łukiem i puklerzem.

O Północnej zawsze dobie,  
Dąb zasłumi w głuchą ciszę,  
Konarami zakołyszę,  
I rycerza budzi w grobie.

Grób się wstrząsa z brzękiem, szczękiem  
Szabli, łuku i puklerza;  
I zpod ziemi głos rycerza,  
Wychodzi z hukiem i stękiem.

Co tam dębie jakie wieści?  
I gaduła dąb się chwieje,  
Szumem, swistem zwiędłych liści,  
Ojczyste mu prawi dzieje.

O Nie, kłamiesz dębie stary,  
Za mych czasów niebywało,  
Ni się znało, ni dawało,  
Takim pustym baśniom wiary.

Pytaj słońca, niech ci powie:  
Ono starsze i ciekawsze;  
I odemnie prędzej zawsze,  
Wszystkiego się wierniej dowie.

Ale wczoraj w późnej porze,  
Kruków, wilków to gromady,  
Pełne, tućne jak z biesiady,  
Skupiły się na rozdroże.

Krakały tu, długo wyły,  
O tych bojach, trupach, grobach;  
A na nogach, pyskach, dziobach,  
Reszty krwi się czerwieńczyły.

Ho, ho chłopcze dość tych bajów,  
Starych dębów, cudzych krajów —  
Precz mi brednie o zgniliznie,  
Krukach, wilkach i Ojczyźnie.

Nic miłszego nad psy, konie,  
Pełne kufle i dziewczeczki,  
Nuże, dalej do piosneczki,  
W potoczystym, skocznym tonie.



O Maryni, Kaśce, Juzi,  
Czarnych oczkach, pięknej buzi —  
Tak się ozwał Pan łaskawy,  
Tak zaśpiewał chłopiec żwawy.

Na pagórek dziewczę bieży,  
Patrzy w stronę jedną, drugą,  
Gdzież kochanek jej tak długo?  
Co go w dali od niej dzierży.

Drzwi skrzypnęły, już w chateczce,  
Przeglądasię w lustreczko,  
Raz, dwa spojrzy w okieneczko,  
I znow bieży po ścieżeczce.

Na pagórku znowu stoi,  
Patrzy, patrzy w czyste pole,  
Och nieczuły na jej dolę,  
Czyż on Boga się nie boi!

Patrzy, blednie, płonie, wzdycha,  
Od westchnień się łono wzdyma;  
Wietrzyk wieje, słabnie, zcichnia,  
A kochanka jeszcze nie ma.

Słońko nizej, zbiega nizej,  
Ni na chwilę się nie wstrzyma,  
Cięń się kładzie szerszej, szerszej,  
A kochanka jeszcze nie ma.

Oto sameczyk i samica,  
Dwa gołąbki lecą społem,  
Zapatrzyła się dziewica,  
Oczkiem czarnem, niewesołem.

Lecą górą przez dąbrowę —  
Jak im w parze słodko, miło!  
Pochyliło dziewczę głowę,  
Zamysliło się, stęskniło.

Za Pagórki, po za rzęczkę,  
Pusta, głucha jej równina,  
Łezka spływa na twarzyczkę,  
Gdzież to luby jej chłopczyzna?

Cierpieć nie mogę tych miłosnych trelów —  
Aż nadto wiele w życiu ich słuchałem,  
Samej miłości nigdy nie widziałem —  
Kwil je dla lepszych tej mary czcicielów —  
To mi to rokosz! Kiedy szumném kołem,  
Z pełnym kielichem idzie huczna spiewka;  
A przy mnie hoża, czarnobrewa dziewczka,  
Z iskrzącem okiem, pałającym czołem —  
Kto ją zaśpiewa?  
Wtém młody księżyc z za chmury wypływa,  
Widnią się w dali wieże, baszty zamku,  
Brzmi srebrna trąbka na pańskim krużganku —  
Mysliwych zgraja wypuszczasz się cwałem,  
Tętni i huczy i staje pod wałem —  
Ho, ha witajcie wy gościnne mury!  
Niech żyje pan nasz! kielichy do góry! —



**XIV.**

Nor am I in the list of them that hope.

Milton. »Samson Agonistes.«

Szczęśliwy, który w samotną godzinę,  
 Zadumasię — i powoli,  
 Oprzeszłości, oniedoli,  
 Snuje, i snuje myśli pajęczynę —  
 I w cichej z niemi rozmowie,  
 Wszystko, o wszystko wypowie:  
 Co tylko w serca głębinie  
 Tai się, rośnie, dojrzewa i ginie —  
 I ja nibyto szczęśliwy!  
 I ja, z myślami memi tworzę dziwy!  
 Zgłębi mej duszy pozieram w dal świata,  
 I z dali świata powracam do duszy;  
 A nad ten przestwór przepaści, katuszy,  
 Rój się ich wznosi, i nas wiąże, splata.

**XV.**

O Liebe, süßes Labsal aller Leiden  
 Des Sterblichen, du wonnevoller Rausch.

Oberon's VII. Gesang.

Zaledwom wytechnął po ciężkiej niewoli,  
 Znów cięższa grozi — Z nią troski i bole, —  
 Zaledwom myśli obłąkanych roje,  
 Zgarnął do duszy w pierwszą ich osnowę;  
 Znów się rwą, płaczą złote pasma moje,  
 I porzucają niespokojną głowę —  
 Znów bladeść w twarzy, ogień i jad w łonie,  
 W krwawym kipiátku, znowu serce tonie,  
 I znowu kocham — — —  
 Ledwo z pietnąstą rozstała się wiosną,  
 A już tak śliczną rozkwitła dziewczyną!  
 Wdzięki po wdziękach z każdym dniem, godziną,  
 Tak jej rokosznie, czarodziejsko rosną!



I już mnie nęca i słodko, i miło —  
Tak zachwycają, i rażą i kołą,  
Taką uroczą, nienjętą siłą,  
I podbijają mój rozum i wolą —  
I znowu wzdycham — — —

A Była pora —

Kiedym powagą, i głosem Mentora,  
Umiął trzpiot dziewcze na wodzy rozsądku,  
Utrzymać w karbach karności, porządku:  
Kiedy łekliwa, z minką skromną, świętą,  
Jakby z obrazka swej patronki zdjętą;  
Oczkami, w oczy, twarz moją wlepiona,  
Do mnie i duszą i sercem zwrócona;  
Zdała się własne zatrzymywać technienia,  
By tylko zliczyć, ust mych poruszenia:  
Bywało — rzędem siedzimy przy stole,  
Przed nami książka — Czyta wgłos, powoli;  
Potem tłumaczy, znów na pamięć mówi,  
Jąka się, myła raz drugi i trzeci —  
Płacze się — staje w pół myśli, w pół słowie —  
» Wstydz się panienko, głos jej z góry leci,  
» W wacpanny lata, przy takiej zdolności,  
» Moźnaby lepszej dać dowód pilności —  
I cała w ogniu moja panna gore —  
Chce się czemś bronić — i z spuszczoną główką,  
Kona exkuzy ostateczne słówko:  
I przyjaciółka, łezka w samą porę,

Z mgłą powleczonej wypływa zrenicy,  
Odkupić ciężką winę pokutnicy. —

A teraz —

Oczko ciemne, żywe, śmiałe,  
Tak do serca się i wpija,  
I namiętne i zuchwałę,  
Serce pali i przebija.

W pół omdlałe, oczko tkliwe,  
Tak i nęci mię i ludzi,  
I figlarne, i złośliwe,  
Tak i draźni, tak i nudzi.

Wierzę sobie, i niewierzę,  
Toż to dziecko, toż dziewczyna!  
Przystrojona ledwo w pierze,  
Toż to z klatki mej ptaszyna?

Wesolutka, wietrzna, pusta,  
Roskoszuje swawolnica;  
Lilijowe płoną lica,  
W ogniu czoło, pierś i usta.

Rozszczebiocze się szczebiotka  
W niewinności i prostocie,  
Słodkich, słodszych słówek krocie,  
Rozsypuje mi pieszczotka.



I Nadzieje, obietnice  
Płyną miodem i nektarem,  
Oblewają piersi żarem,  
I promienią słońcem lice.

Otoż to ona, piękna czarownica!  
Och, jakbym teraz przyłgął do jej łona,  
Na pulchne, śnieżne schyłony ramiona,  
Całował w oczki, i rumiane lica!  
Luba! daj ustek, daj mi rączki obie!  
Ja płonę, gorę, ginę w twojem oku,  
Ja rozkochany moje życie w tobie,  
Ja w upojeniu, drzę, taję w uroku.  
Och tylko uścisk! — Jeden pocałunek!  
Z słodkich, najśłodszy Niebios podarunek;  
Jeszcze, o jeszcze daruj mi spojrzenie!  
I patrzy duszka tak namiętnie, czule! —  
Lekkie, nieznaczne jedno uścisknięcie!  
I białe rączki już do serca tulę.  
Gołąbko moja! na chwilkę wesela,  
Aniołem stróżem zesłana mi z raję,  
Zasłaniaj sobą od przepaści kraju,  
Ciężkie, samotne dumy marzyciela.  
O gdybyś mogła wiedzieć moja droga,  
Jak mi ta chwila i nowa, i błoga!  
Między dwa światy przeszłości, przyszłości:  
Gdzie duch mój błędny, bez czucia i wiary,  
Goni wielkości, sławy, szczęścia mary;  
Ty dla mnie światem roskoszy, miłości.

I ludzi stary świat z tobą młodnieje —  
Czuję sam siebie. — Do góry, do góry!  
Za mną wy losy! — Za mną me nadzieje!  
Od serca lubej, do serca natury.

XVI.

Da me son fatti i miei pensier diversi.

Petrarca.

Kiedy cię dzisiaj dogryzie, dopieczę;  
Cóż na to mówisz człowiecze?  
— Oprzyjdzie jutro, będzie coś lepszego —  
A gdy te jutra po jutrach pobiegą,  
I długim, ciężkim urosną ci rokiem,  
I przeznaczenia rozciągną się mrokiem;  
Cóż na to mówisz człowieku?  
— Wiele się przemian dożywa w swym wieku —  
A kiedy wszystkie, jakby z sobą w znowie,  
Zdradne obedną z dóbr najlichszych świata,  
Jedne po drugich wykradną ci lata,  
I w końcu młodość zagrabią i zdrowie;  
Cóż na to mówisz człowiecze?  
Jutro, tak jutro! to odpowiedź znana:



Aż przyjdzie ono — i pustych mar pana,  
Z sobą do grobu powlecze. —  
I ja myślałem — i komuż wzbróniono,  
Z własnych kart, własne stawić sobie domki?  
One się wałą — ja zbieram ułamki,  
I znów buduję nowych chatęk grono.  
Tam moja łąka, gaj, niwa i rzeka;  
Pasie się trzódka, tam ogród, pasieka:  
A tu mi droga, moja czarnobrewa,  
Piosnkę miłości i wierności śpiewa.  
Jutro ostatnia łza spłynie, myślałem,  
Weselej spojrzę w dal mojego losu;  
Jutro odrodzon i duszą i ciałem,  
Wytchnę najpierwszy raz od jego ciosów;  
I w dobrych ludzi, w uścisku mych braci,  
Pamięć się nawet przeszłości zatraci.  
I ktoż się temi nie cieszy myślami?  
Kogo to jutro, to cacko nie mami?  
Ono tak proste, naturalne, miłe!  
Tyle w nim wdzięku, słodyczy, dobroci;  
Ono upadłą pokrzepia nam siłę,  
I Raj otwiera, i Boży świat złości.  
Jutro, o jutro! czyż w gorączki szale,  
Mam się ze wszystkich dum, uczuć spowiadać?  
Czyli w bezsilne rozlewać się żale?  
Czy pod ich martwym ciężarem upadać?  
O nie — nie zliczyć bujnych fal potoku!  
Łez gorzkich memu nie przepłakać oku!  
Sam zaszczepiłem sobie tę chorobę,

Sam od niej cierpię bez kropli nadziei —  
Nie wszystkim tyle przechodzić kolei:  
Zá życia nosić po sobie żałobę.  
Sąd na to będzie po drugim pogrzebie;  
A kara w piekle, czyli płata w Niebie.  
O ludzie! jeśli wy wiedzieć żądacie,  
O mych cierpieniach, mych nadziei stracie;  
Przyjdźcie, słuchajcie, jutro wam opowiem.

### XVII.

Rispondo: io non piango altro che me stesso,  
Che son rimasto in tenebro, e in martire.

Petrarca.

Otoż ów śpiewak, ów wiosny kochanek!  
On pierwszą piosnką, w pierwszy jej poranek,  
Tak ją pozdrawia wdzięcznie i wesoło!  
I kiedy całe przyrodzenie w koło,  
Z łąk, gajów, dolin w niezliczono chóry,  
Zabrzmi na wszystkie głosy, dźwięki, tony:  
On jeden wolny, bystry, nieścigniony,  
Dalej i dalej wznosi się do góry,  
I z nad obłoków, gdzie jutrzienka gości,  
Wysławia matkę roskoszy, miłości.



Otoż skowronek, latawcyk zuchwały!  
Wczoraj, dziś może z wiatrami w przegony,  
Rwał się do słońca z śpiewką nowej chwały:  
A teraz w zdradne sidełka schwycony,  
Niby nieżywy, bez ruchu, bez głosu,  
Odemnie swego oczekuje losu.  
Otoż go w rękę trzymam niewolnika!  
Licha złotówka na ręce ptasznika —  
I w mojej mocy biedak uwięziony,  
Z nim wszystkie cudne, harmonijne tony.

Biedna ptaszyno! twej ojczyzny pola,  
Po Niebios jasnym ścielą się błękitcie:  
Tam to skowronków twoich braci życie!  
Tam to im roskosz, tam bez granic wola!  
Tamby i tobie z samiczką twą w parze,  
Po niczmierzonym pobujać obszarze.  
Ty może pierwszy raz z gniazda twej matki,  
Młodemi skrzydły wzbiteś się do góry —  
Wyżej, i wyżej do krańców natury;  
I gdzież mój śmiałku popadłeś? do klatki.

Tak to i dusza wyniosła Poety,  
W krainy marzeń, ideałów leci;  
Niepomna zdrady rozstawionych sieci,  
Buja, i śpiewa sławę i kobiety!  
Hardym, młodzieńczym puszcza się polotem:  
Łzy, pieśni, hymny leją się potokiem;  
A zawisć dybie nań z zatrutym grotom,

A przemoc ściga wężowym urokiem —  
Już, już dosięga mety przeznaczenia;  
I gdzież upada? — — —

Leć, leć skowronku, leć z Bogiem w swą drogę,  
Nie mnie cię więzić po turmach drucianych;  
Dla piosnek dawno, daleko słyszanych,  
Zabierać jasne, dnie niewinne, błogie.  
Bywaj zdrów ptaszku! i z otwartej dłoni,  
Mój wyzwoleniec w moment się wymyka;  
W tę, w drugą stronę błędny się pogoni,  
I za ścianami, za dachami znika —

### XVIII.

Die Schmerzen sind's, die ich zu Hülfe rufe.  
Goethe.

Idę, ja idę o chłodzie, słońcie,  
A w polu głucho i ciemno;  
Straszno mnie zimno biednej sierocie,  
Nikogo nie ma ze mną.

Idę, ja idę, i w koło siebie  
Wodzę i wodzę oczyma;  
A jednej gwiazdki nie widać w niebie,  
Jednej drożyny tu nie ma.



Nie chce mi żadna świecić gwiazdeczka,  
Błąkam się, płaczę ja sama;  
Ktoż mi pokaże gdzie moja chateczka,  
Gdzie kochana moja mama?

Było mi ciepło na mamy łonie,  
Tu drzę pod jedną sukienką;  
Gdzież się od wichrów szumnych zasłonię?  
W czyje zapukam okienko?

Nóżki mnie bolą, główka mnie boli,  
Nie ma gdzie spocząć na chwilę;  
A serce stygnie, stygnie powoli,  
Chwieję się, słabnę na siłę.

Coś się tam rusza z szeptem i mrukiem,  
Jakiś zwierz dziki, czy mara,  
Zawyje wilkiem, zakracze krukiem:  
Ach to straszydło, poczwara!

Gdzieżeś ty Mamo, w której ty stronie?  
Jak mnie doczekać do rana?  
Boże, mój Boże! gdzież się ja schronię,  
Ja biedna, słaba, zbłąkana!

Umilkła sierotka —

I było chmurno, coraz chmurniej w górze,  
Coraz posępniej, okropniej na dole,

Głośniej i głośniej huczał wiatr przez pole,  
Dalej i dalej pędził czarną burzę —  
A w pośród tego zamętu, chaosu,  
Nie było słyhać już sierotki głosu.  
Zagrały chmury muzyką piorunów,  
W krzyże się w węże krają błyskawice;  
To Niebios ściemną, to zagorą lice,  
Od biegunów do biegunów —  
A wśród ulewy, szumu, huku, stęku,  
Nie było słyhać już sierotki jęku.  
Tylko wilczyca tuż pod blizkim borem,  
Skomli i wyje, i oczyma świeci;  
I wyją za nią wilczęta jej dzieci  
Jednym przeciągłym, przeraźliwym chórem; —  
Razem z swą matką, wyją dzieci wkoło:  
Jakby po uczcie rozgłosnie, wesoło.



**XIX.**

Thor! wer dorthin die Augen blinzend richtet,  
Sich über Wolken seines gleichen dichtet!  
Er stehe fest und sehe hier sich um;  
Dem Tüchtigen ist diese Welt nicht stumm.

„Faust“ (2r Theil. 5r Act).

Od książeczki, do dziewczeczki,  
— Od dziewczeczki, do książeczki:  
Mego życia to zabawki,  
Najcelniejsze jego sprawki.  
Niech jak zechce los napada,  
Cóż mi jego ucisk, zdrada?  
O nic nie dbam i nie pytam;  
Czytam, kocham, znowu czytam.  
Ot piękniutka, ot milutka,  
I układna, i słodziutka!  
Oczki bystre, gadające,  
Lice, usta śpiewające;  
A jak patrzy! jak szczebiocze!  
I czaruje, wabi, nęci:  
Za nią serce, myśl i oczy,  
Bez rozumu i pamięci.  
Już wplątany w jej powaby,

Chociaż piecze, chociaż boli;  
Jeszcze ciesze się z niewoli  
Zaslepiiony, błędny, słaby.  
Aż tu dąsy i kaprysy,  
Scicha, zrzadka, potem częściej,  
I nieznośniej, coraz gęściej,  
Zaciemniają wdzięczne rysy.  
Jak nie cierpieć od dziewczyny,  
Kiedy ładna i wietrznica?  
A więc cierpię choć bez winy —  
Lecz wszystkiemu jest granica —  
I pół względów postradawszy,  
Za drugie pół skwitowany,  
Rejteruję wszędy, zawsze,  
Pół rozbity, pół wygrany —  
I znow za swe foliały —  
Tu to myślę, prawda szczerą.  
Z każdej literki wyziera.  
Jeślić w sercu puste szaly,  
Z ciasną głową przykro, nudno,  
Z kobietkami idzie trudno;  
Precz od ciebie nieśmak, wstręty,  
Czytaj książki i rozmyślaj,  
Pisz, przekryślaj i podkryślaj,  
A będziesz mądry i święty.  
A więc głębiej, coraz śmialej,  
W popruchniałą, mądrość świętą,  
Niepojętą, czy pojętą,  
Zapuszczam się dalej, dalej.



Od poranku do wieczora,  
Milczę, czytam, piszę, badam;  
Już o włos co nie popadam  
W nieme ucznie Pitagora,  
Wtém pod oknem coś się ruszy,  
Coś zamiga, zachichocze;  
Patrzę, słucham w oba uszy,  
W obie uszy, w obie oczy:  
Aż to dziewczę, dziewczyneczka,  
Rubin, perła, perełeczka!  
Po spodniczkę białej w kratki,  
Po fartuszkę, po staniku,  
Rzędzikami biegną kwiatki:  
Krasny gwoździk po gwoździku.  
Ukradkami z pod fartuszka  
Patrzy zgrabna, mała nóżka,  
Fartuszek się z wiatrem wije,  
A krew pali, serce bije —  
I Kosynka w pół zasłania,  
Wpół odsłania piersi śnieżne,  
Kraśne, pełne . . . . .  
Bierz was diabeł Professory,  
I Magistry, i Doktory; —  
Jednym szustem pod stół w nogi,  
Poszły Mówcy, Filologi,  
Epopeje i Kroniki,  
Pamiętniki i dzienniki.  
Artystyczność, artystowstwo,

Artystyka i mistrzowstwo:  
Wychuchane, wycackane,  
Wymuskane, wygwizdane,  
Z Rymodziejów Mumijami,  
Oparły się pode drzwiami.  
Nuże do niej! Ona do mnie —  
Po ukłonach, tuż dusery,  
Komplementa i spaceru.  
Ona mówi scicha, skromnie,  
Rumienię się, słówka ścina;  
A Frant, filut to dziewczyna! —  
Odtąd myśli za myślami,  
Łażą w nocy, w dniu kupami,  
Po kosynce, po staniku,  
Po każdziusińkim gwoździku.  
Słodko czasem sobie marzyć  
I o Niebieskich migdałach,  
Z Poetyckim gminem gwarzyć  
O Platońskich ideałach —  
Wzniesić się hardo i wysoko,  
I na chmur odpocząć grzbiecie;  
Potem wyżej ponieść oko,  
Rozgościć się w duchów świecie.  
Słodziej jeszcze przy Anusi,  
Czy Marysi, czy Kostusi,  
O Muślinach, o mazurkach;  
O kwiecistych prawie wzgórkach:  
Wczoraj było Niebo mgliste,  
Jutro święto uroczyste:



A tymczasem rączki małe,  
Jakoś ściska się potroszę,  
Szczerę, istne, niezwiertzałe,  
Życia piją się roskosze.  
Ale wszystkie te Anusie,  
Petronelle i Kostusie,  
Dopóty się karmelkami,  
Przymilają aniołkami;  
Aż ułowią rozkochane,  
Płomieniste, serce pijane:  
Wtenczas darmo z zdradnej sieci,  
Biedne z płaczem się wyrwa,  
Samolubej, złej kobiécie,  
O miłości, wierze śpiewa —  
Igły, szpilki i nożyczki  
Kolą, krają go no szmaty,  
Dwa, trzy nowe lipną swaty  
Do kosynki, do twarzyczki.  
Niewiasty, chytre Syreny!  
Głupi, kto na wasze łono  
Skloni głowę rozmarzoną,  
I pod zwodne zaśnię treny,  
Teraz to czułe kokietki,  
I Blondynki, i brunetki,  
Żegnam was, i książek wałami  
Od pokusy się przegradzam;  
Na wiek rozbrat z młodym szalem,  
Ja nanawo się odradzam.  
W drukowanym znowu świecie

Przechadzam się, wesół bawię,  
Słucham bajów, co mi plecie  
Stara przeszłość w śnie, na jawie.  
Jak Człek, Naród, ludzkie plemie  
Tłoczy, goniszę omackiem,  
Przez czas wieczność, przez kraj ziemię,  
Za pył-szczęściem, za grób-cackiem.  
Święci, święte słowa sieją,  
Dla pokoju i wesela;  
Strumienie się lez, krwi leją,  
W Imie Boga Zbawiciela.  
Tam się morzem, lądem wleką,  
Tam rzną, godzą, chrzczą i sieką.  
Pany w Mitrach i Infułach,  
Na stolicach i szkatułach,  
Radzą, biedzą się nad światem:  
A Junaki mędrców rady,  
Dyplomatów mowy, zwady,  
Decydują swym bułatem.  
Pastorały i buńczuki,  
Błyszczą szable i dukaty;  
Huczają działa, grzmią wiwaty;  
Wyzwolone pieją sztuki:  
Mocna, słaba, głośna, cicha,  
Wszędzie jedna żądza, pycha:  
W wirze szkiełek i błyskotek,  
Pod tumanem bredni, plotek,  
Pędzi z hukiem, piskiem, szumem  
Po nad człowieka rozumem;



Pędzi, sypie się w kawaly:  
Przypowiaстки i morały —  
Serce słabnie, mdleje z niemi,  
Ciężko, nudno mu w pokoju;  
Jemu żywych ludzi, ziemi,  
Jemu trzeba burzy, boju.  
Kiedy w ranach poszarpane,  
Całkiem w ogniu, zbite, skłute,  
Każdą życia klnie minutę:  
To to żyje wyuzdane!  
Myśl w dalekich gdzieś tam czasach,  
Kretem kopie się w nich do dna,  
Nieznuzona, zawsze głodna,  
Z wyrokiem w wiecznych zapasach.  
Serce całkiem wrosłe w ziemię,  
Marzy o niej, wzdycha, drżemie.  
Myśl od świata się unosi,  
Do Niebios górnej dziedziny;  
Serce z piersi rwie się, prosi  
Do kochania, do dziewczyny.  
Jak niestuchać? kiedy zacznie  
Tak namawiać grzecznie, ładnie,  
Przymawiać się tak nieznacznie,  
I tak wmawiać słodko, składnie.  
Jak Proteusz niepoczciwie,  
W tysiąc krztałtów się przerzuci;  
Z każdym razem chytre, tkliwe,  
Coraz wdzięczniej, czulej nuci.  
Już, już chciałbym za nim w tropy,

Z pod zalotnic zimnych oka,  
W Niebiosa siódme Proroka,  
Pod Hurysek lecieć stopy:  
Bujać, marzyć, łamac skrzydła,  
Potem padać w dawne sidła.  
Ale jeszcze jakimś cudem,  
Jedna wątła nie rozsądku,  
Niespalona w uczuć wrzasku,  
Uratowała mię z trudem.  
Aż na głowie włos się jeży,  
Dreszcz przechodzi wszystkie ciało;  
Gdy w pamięci się odświeży,  
Jak kochało się, cierpiało.  
Boli, boli każda rana, —  
Jakby jeszcze dziś zadana,  
Otwierasię — i zarazem  
Idzie obraz za obrazem:  
Tych Aniołków, kochaneczek,  
Lubek, duszek, gołąbeczek  
Hożych, wietrznych i polotnych,  
I okrutnych i przewrotnych:  
Co za grzechów nam niemiare,  
Gdzież się biedny od nich schronię;  
Poradz święty mój Patronie?  
Za wezwaniem, i natchnieniem,  
Za natchnieniem, wypełnieniem —  
W roztworzone tuż podwoje,  
Biegnę ufny w zachwyceniu;  
Długo patrzę, długo stoję,



W zadumieniu, osłupieniu.  
Księgi górą, księgi dołem,  
Tysiącami się zebrały;  
Szeregami, legły kołem,  
W Piramidy, stosy, wały —  
Niby mówią, uczą, żyją;  
A nie uczą, tylko gniją.  
Tu to myśli, czuć, dzieł trupy,  
Z wszystkich wieków, końców świata,  
Pozwlekane w wielkie kupy,  
Jak w dolinie Jozafata;  
Wyglądają, z swej zagrody  
Sądu, kary, lub nagrody.  
Cicho, głucho — Przerażenie,  
Litość, rozpacz, rozrzewnienie,  
Z głębi duszy jak z mogiły,  
Szkieletową marą wstają,  
Całunami obrzucają  
Świat ten jeszcze młody, miły!  
Ludzie — plazy, półbogowie!  
Toż wam nieśmiertelna sława?  
Za żywota z głupstwem w zмовie  
Przesąd, zawiść, przemoc krwawa  
Depce, chodzi wam po czołach:  
A po śmierci na popiołach,  
Kilka nitek pajęczyny,  
Trochę wrzawy, gadaniny,  
Niby skrucha, rozczulenie,  
Potem przesył, zapomnienie.

Zasepiony wzrok się toczy,  
Wśród napisów, godel tłumów;  
Po cmentarzu tym rozumów,  
Pełza błędny, nieochoczy:  
To po ścianach się leniwo,  
To po oknach z nieweselem,  
Pasorzytném snuje zieleń,  
Aż znienna jak na dziwo,  
W ogrodowe tuż szpalery,  
Zlatują się dwie, trzy, cztery,  
Nie motylki, przepióreczki:  
To dar Boży, to dzieweczki,  
I ta piękna, i ta hoża,  
Ta ładniutka, i ta miła  
Niby fijodek, niby róża  
Ledwo z pączków się rozwiła.  
Do twarzyćki, do usteczek,  
Niby gdzieś tam w Niebie skradły  
Krasę lilij, żar gwiazdeczek,  
I prościuchno na mnie spadły.  
Tak się serce i rozplywa  
W cztery sztuki rozsieczone;  
I rozrywa, rozgorywa,  
W cztery ognie póchwycone.  
Samo nie wie co poczynać,  
Skąd, gdzie, kiedy, jak się rzucić;  
Czy uciekać, czy zaklinać;  
Bo na sucho ztąd nie wrócić.  
Szesnasta im ledwo wiosna



W dużych, bystrych gra oczętach;  
I swawolna, i miłośna,  
W słodkich ścieli się ponętach.  
Ta zachwyca, ta urzeka,  
I ta nęci, i ta pali;  
Alboż serce u człowieka  
Z drewna, próchna, czy ze stali?  
Nie — kipiątek, lawa wrząca  
Z strony, w stronę się przetrąca.  
Tę i tę by się kochało  
Szczerze, wiernie i stetcznie;  
Tej by życie się oddało,  
Z tą się nie rozstało wicznie.  
Dobrodzieju, losie drogi!  
Pięć lat, dziesięć ci pod nogi —  
Licha u mnie to garść mienia,  
Ni dla Boga, ni dla ludzi;  
Tylko gryzie, męczy, nudzi,  
Bez ulżenia, pocieszenia —  
Weź je sobie wiecznem prawem,  
Mnie niedzielę, pół niedzieli,  
Jeden dzionek bądź łaskawym:  
Niech pożyję na wesele,  
Słodycz, rokosz, upojenie,  
Z przesycenia, w przesycenie  
Unośzę się, mdleję, tonę,  
Ogniem gorę, w ogniu spłonę.  
Wróg dla ciała i dla ducha,  
Nieużyty los niesłucha.

Ni żdźbła z niskąd rozeznania,  
W Labiryńcie wdzięków błędę,  
Z Ustek, w ustka, z żądy, w żąde,  
Bez spoczynku, z mordowania.  
Ni słoweczka, ni pół słówka,  
Nie szepnie mi biedna główka:  
I w niej takąż gmatwanina,  
Buziek, oczek płatanina.  
Duszki moje, panienczki!  
Wy Boginie, aniołeczki!  
Nie o miłość, o rokosze,  
O litości trochę proszę —  
Wam igraszką łzy, wzdychania,  
Z śmieszków pasmo uczuć snute:  
A mnie przyjdzie za pokutę,  
Znowu szaleć od kochania:  
W chytrej liszki złe pazury,  
Oddać serce na tortury.  
Próżne modły, wykrzykania,  
Nie pomogą zaklinania:  
W tym ogródku róż, bławatek,  
Można jeden urwać kwiatek;  
Jeden tylko wybrać trzeba,  
Dar to piekła, czyli Nieba.  
A tu coraz to mi więcej,  
Zaciemnia się w oczach dwoi,  
W piersiach duszniej i goręcej:  
Niby cztery słońca stoi.  
I po długich wstępnych bojach,



Trwogach, ciężkich niepokojach,  
 Zachwycony w pocałunku,  
 Mdleję, padam bez ratunku.  
 Odtąd w ranki, czy wieczory,  
 W snach, na jawie tylko ona,  
 Nad Adama wszystkie córy,  
 Ulubiona, ubóstwiona.  
 Prometeja drugim sępem,  
 Tu na serca spadła środek,  
 Cną urojeń, trosk zastępem,  
 Zdrowia truje sam zarodek.  
 Otoż i mam czego chciałem!  
 Wybierałem, i wybrałem:  
 Słodką, miłą, najpiękniejszą;  
 Złą, kapryśną, najchytrzejszą.  
 Obiadaż mi! od dziewczeczki,  
 Pora znów mi do książeczki.  
 Taka to skazka wiatrem wykradziona,  
 Z ust jakiegoś sowizrzęta,  
 Samopas błędząc w głębie mego łona,  
 Pocichacza się zabrała —  
 I póty z szumem i bełkotem głuchim,  
 Naprzemian wrzała, huczała, syczała;  
 Aż się spoiła, zrosła z cudzym duchem,  
 I naga, w jego wyrazy przybrała.  
 Otoż wam ono! Chcecie lub niechcecie,  
 Moich mar błędnych to poboczne dziecię!  
 Podobne wprawdzie do swego rodzica,  
 Taż sama postać, uśmiech, oko, lica;

Tylko nie dusza, co tak dawno kona,  
 Do krzyża srogich cierpień przygwożdżona.  
 Gdybym mógł także i z serca, i z głowy,  
 Tę moją własną myśli, uczuć burzę  
 Wyrwać, wyrzucić do rdzenia, osnowy!  
 Och! zda się wtenczas, że w całej naturze,  
 Niebyłoby życia słodsze go nad moje!

Jak ciche wody w strumyku,

Jak wolny wietrzyk w gaiku;

Takby dni, latek mych płynęły zdroje —

I spokojność święta, błoga,

Niegoniona, niepłoszona,

Prosto z łona mego Boga,

Do mego by zeszła łona.

A teraz — jakżem inny, niepoznany!

W Niebiosach święci cieszą się anieli,

Na ziemi grono dziecię się weseli:

A ja pośrodku stoję obłąkany,

Darmo ją szukam, bez spoczynku gonię,

Dziko, posępnie, straszno w mojem łonie.

Tam piękność, miłość w krainie ułudy,

W dziewiczych wdzięków maluje się czary;

Tam ludzie cnoty, poświęceń i wiary;

A tu proch, ziemia, interesów brudy!

I myśli z myśli, obrazy, marzenia

Wiją się, snują, rosną, rozwijają;

Z widm w widma, z nocy w noc się przelewają



Po całym kręgu, po za krąg stworzenia,  
 A serce piecze, rozdziera się, boli:  
 Uczuć w nim strąca, zbija się tysiące;  
 Wszystkie gwałtowne, zgubne, gorejące;  
 Ni śladu przy nich cichej, skromnej doli.  
 Nie widzę, czuję nic w około siebie,  
 Tylko mogiły, tylko krzyż na Niebie.

## I Dziejów Izraelskich.

---

Hear me, my mother Earth! behold it, Heaven,  
 Have I not had to wrestle with my lot?

»Child Harold«. Byron.



## Z DZIEJÓW IZRAELSKICH.

### I.

#### W s t ę p.

Znowu, ach znowu! przelotne marzenia,  
Gościną w serce samotne idziecie!  
Znowu mię w czasy i strony niesiecie,  
Gdzie się i moje unoszą westchnienia!  
Ni przejrzyć przez was, ni naznaczyć kraju;  
Ni się rozpatrzeć w bezgranicznym raju.  
I coż, że krasą, wdziękiem umajone,  
Duch radujecie, i ślepicie oczy;  
Tuż po was czarna nuda się wytoczy,  
I dnie powlecze brudne, zasępione.  
I coż, że słońce u nóg się rozleje,  
A potem krzepnie, blednie i ciemnieje.  
Ale nie gaśnie. — Ale się rozpala,  
Znowu tém samém odradza się słońcem;  
I znowu za nim duch się mój oddala,  
I pod niebiosą wypuszcza się gońcem.  
Nieście mię, nieście o moje marzenia!  
Teraz ja władzca, ja pan wszystkich cudów!  
Głowę wynoszę pod górne sklepienia,  
A u nóg gniazda robaków i ludów.  
Nieście mię, nieście tam gdzie świat zgrzybiały



Z wiekami w jednej usypia mogile;  
Wykopię stamtąd, odżywią te chwile,  
Co na kolebkę jego poglądały; —  
Tam gdzie Jordanu przenajświętsze wody,  
Płyną pomiędzy wyklęte narody.  
Płyną — a dzieje, te wysokie cuda,  
Co się przejrzały w ich nurtach burzliwych,  
Do głębi. spycha niewiara, obłuda.  
Płyną — a żadna nie śmie z fal trwożliwych,  
Odślonić krwawej przeszłości cmentarzów:  
Pogruchotanych tronów i ołtarzów.  
Tak ty mój duchu bądź i za nie śmiały,  
Rozlej się grzmiącym żywych słów potokiem;  
I przed ludzkości zasromanej okiem,  
Rozlej się hymnem zapomniałej chwały!

III.

S p ó r.

O, ziemia matka wielka i bogata!  
I równinami zalega szeroko,  
I w harde góry wspiną się wysoko;  
I rozkochana za słońcem ulata.

Niech ile ziarenek piasku na jej łonie,  
I ile gwiazdek po nad głową płonie;  
Niech wszystkie w twory rozrodzą się nowe:  
I głodne dzieci, w objęcia gotowe,  
Niechaj upadną ukochanej matki;  
Ona je wszystkie nakarmi, napoi.  
A jednak ludzi nic nie uspokoi,  
Ani jej skarby, ani jej dostatki.  
Patrzcie! oto tam morzem osłonięta,  
A z drugiej strony zaparta Libanem,  
Po kraju mlékciem i miodem oblanym,  
Garść ich w mrowisko całe rozpleniona.  
Im to żyć wieki w szczęśliwej ustroni!  
Bóg ich nad wszystkie umiłował rody,  
On ich na własnej wyhodował dłoni,  
I wyposażył w te pola, ogrody;  
I dla niewdzięcznych, głuchych, zaślepionych,  
Ileż darował cudów niezliczonych!  
A przecież zawsze tam pożogi, mordy,  
Tam się zbojeckie wyrzynają hordy.  
Oto w uroczej Galaat krainie,  
Stoi dom wielki na wzgórzu wysokiem,  
Tam to zamożnej i licznej rodzinie,  
Przebiega, leci błogi rok za rokiem!  
O nie — dopóki ojciec siwym włosem  
Przewodził groźnie woli rozhukanej;  
Póty za jego szanowanym głosem,  
Szła krnąbrna zgraja po drodze wskazanej.  
Ale on umarł — a z nim koniec zgody.



Te mnogie stada, obszerne zagrody,  
Niwy, co niby morze nieprzejrzane,  
Łamią się z wiatrem w fale pozłacane,  
Nie mogą objąć ich żądry niesytej.  
Powstają dzieci czeredą kłutliwą,  
I jakby w twierdzy najazdem dobytej,  
Pracę ojcowską grabią ręką chciwą:  
Ten goni owce; a ten osły, kozy;  
Ci się przebojem do gumna włamują,  
Tamci uwodzą ładowane wozy;  
A tam komnaty i skrzynie plóndrują.  
Złoto Ofiru i kości słońiowe,  
Sydońskie płótna i Tyryjskie sprzęty  
Porozbijane, porwane, pocięte  
Idą silniejszym na łupy gotowe.  
Jeden z nich chociaż nad wszystkich rozumem,  
Postawą, wdziękiem, odwagą celniejszy;  
I chociaż mógłby nad wszystkich dzielniejszy,  
Siłą się zeprzeć z poswarzonym tłumem,  
I sięgnąć śmiało po mienia połowę:  
On sam spokojny, wśród dzikiego szatu,  
Począł podawać im porady zdrowe,  
Do bratniej zgody, równego podziału.  
Ale zaledwo wyrzekł pierwsze słowa,  
I wraz nań wszysej jak zjadliwe osy;  
Zewsząd okropne zagrażają ciosy,  
I śmierć, i hańba już przed nim gotowa.  
I tobież śmiałku sądzić naszą sprawę!  
Ty niecny płodzie bezwstydu, nierządu;

Dopókiż będziesz ty szkaradą trądu,  
Kazić naszego pokolenia sławę!  
Słuchaj — tam wyją głodne wilków stada,  
Bierz je — to tobie z działu woły, konie;  
Tam goła puszcza w piasek się rozpada,  
Orz i zasiewaj po całym zagonie.  
Precz ztąd — dokoła wszyscy zawołali,  
Precz powtarzają i starzy, i mali.  
A on nie jeden — on jeszcze miał dziecię!  
Jak tu ojcowskie serce niezaboli!  
Rzucić sierotę na złych ludzi wolę,  
Samemu błądzić daleko po świecie;  
I widzieć, słyszeć w nieprzeżyte lata,  
Jego łzy, jęki z samych końców świata.  
Ach! wy to dobrze wiecie nieszczęśliwi,  
Jaki chleb gorzki takie dzieci żywi.  
A on niepewny — czyli się ukorzyć,  
Czy w dumie męża, ból ojca umorzyć.  
A ono, dziecię — prześliczna dziewica!  
Bieży przelękła, drżąca, zapłakana,  
To gniewnych błaga, ścisza za kolana,  
To się przytula do łona rodzica.  
Biedny powoju! tobież miękkim splotem,  
Dąb hardy, silny, zasłonić przed grzmotem?  
Nie płacz tak rzewnie, nie załamuj rączek,  
Ten co wychodzi za rodzinne progi,  
Ledwo rozkwitły twej młodości pączek,  
Litości obcych, nie rzuci pod nogi.  
Piękna! przed żadnym nie lękaj się wrogiem,



Zawsze on z tobą, a ty z nim przed Bogiem,  
I któżby równie jak ty wielkiej duszy,  
Zechciał się wadzić z tym brudnym motłochem?  
Ustąp człowiecze! niech nad marnym prochem,  
Liche robactwo rozdziera się, juszy,  
Synu nieprawy! odtąd przeznaczenie,  
Co niżej chwastu wiło się po ziemi,  
Wzmoże się tobie ramiony silnemi,  
I ponad cedry strzeli w chmur przestrzenie.  
Ale nie darmo jego ulubieniec,  
Obwodzi czoło w nieśmiertelny wieniec.  
Pierwej po piersi przepelźnię gadziną,  
Ono się w zdrojach twoich łoż omyje,  
Zdroje gorącej, krwi drogiej wypije;  
Przepelźnię szczęścia, nadziei ruiną:  
Póki w niebieskie rozlane promienie,  
Nie błysnie wiekóm na cześć, podziwienie.  
Ono do dziecka za duszą się wkrada,  
I w głębie serca tajemnie zapada;  
Z nim się hoduje, rozwija się, rośnie;  
I w pierwszej życia niewinnego wiosnie,  
Już ciemnych myśli ciągnie się potokiem;  
Chwyta go, niesie w Armidy pałace;  
Pomartłych dziejów oprowadza mrokiem,  
I piędźią mierzy Herkulesa prace.  
To błysnie w oku, to wyjdzie na czoło,  
To znów się głębiej wkopuje do serca;  
Wszystko wyniszcza, wytruwa w około,  
Samego siebie rodzic i morderca.

I długo, długo darmo wyglądane,  
Wybucha własną i wolą, i siłą.  
Będzie to krwawą posoką obłany,  
Miecz zawieszony nad wrogów mogiłą;  
Lub praw tablica, lub mądrości księga;  
Albo śpiew wieszczcy, co do serca mowi  
Tak czule, słodko, tak do niebios sięga,  
Jakby z anielskiej arfy uroniony.  
To przeznaczenie tobie miecz gotowi!  
I biada temu, kto w obłąd wtrącony,  
Śmiertelne pómie na cię podnieść ramie.  
Ciebie moc ludzka, piekielna nie złamie.  
Ja cię nazywam mężu po imieniu,  
Wychódź ztąd Jefte, opuść ten ród smoczy,  
Niech dłużej twoje nie patrzą oczy,  
Na wzgardę plwaną twojemu cierpieniu.  
Jefte! ja jeden wymawiam twe imie,  
Ale czas przyjdzie, kiedy wszystkie kraje  
Poznają ciebie, o ludów olbrzymie!  
Sława, co życie nieskończone daje,  
Wymawiać będzie wśród Jakóba synów,  
Z imieniem, pamięć twych nieszczęść i czynów.



III.

*P u s t y n i a.*

Pustynia straszno, dziko się rozlega —  
Jakby natura w kwieciste ruczaje,  
Obwiodłszy ziemię od brzegu, do brzegu,  
Tu, zmordowana wędrówką ustaje;  
I drzymie wiecznie w piaskach zagrzebana,  
Drzymie skałami wiecznie zarzucana.  
Tylko tygrysy, szakale, hyeny,  
Do snu okropne wywodzą jej treny.  
Pustynia straszno, dziko się rozlega:  
To z bracią swoją wściekłymi wiatrami,  
I sama wściekła w fale się rozbiega;  
Z fal piaszczystymi puści się górami,  
I popiętrzone, stają gmachy nowe,  
Wojsku pielgrzymów, cmentarze gotowe.  
To się w równiny rozsypie, rozmiecie,  
I trupich kości stosami zaświeci;  
Z kłębów się w kłęby zmije przewalają,  
I nieprzejrzaną lecą sępy stają.  
Ach! tak i w naszej wyobraźni świecie,  
Lęgną się dzikie, okropne pustynie!  
Nieszczęsny — komu jeszcze w życia kwiecie,  
Przyjdzie się w własnej zagrzebać ruinie!

Wschodzą marzenia! jakie pyszne, śmiałe!  
Ot w myśli szczęścia, potęgi się zleją;  
A z myśli, w dzieła zbawienia dojrzeją!  
Chwila — a one z dymem uleciały!  
A serce bije, a łza po nich płynie,  
Dzikie, okropne lęgną się pustynie!  
A sępy lecą, i zakraczą górą;  
Zaszumią, czarną opuszczą się chmurą;  
A wszystkich oczy biją w jedną stronę,  
I tamże biją szpony zakrzywione.  
Czy to nie szkielet ręką wyciągniętą,  
Tak popłoszonych od siebie odtrąca?  
Niegdyś postrachem był zbrojnych tysiąca,  
A dzisiaj, nędzną tych ptaków przynętą.  
O nie — to Jeste, to mąż przeznaczenia,  
A przy nim piękna, młodziuchna dziewica:  
Dwa ich wielbłądy niosą bez wytchnienia,  
Gdzie Judzkiej ziemi, ciągnie się granica.  
Jego wygnała ojczyzna, rodzina, —  
Wzgardę, szyderstwo zostawił za sobą; —  
Całą roskoszą, dni przyszłych ozdoba,  
Tylko mu córka została jedyna.  
Raz poraz na nią stroskany poziera,  
A z posępnego, czulego wejrzenia,  
Taka mu lubość, rozpacz się wydziera!  
Człowiecze! ja znam, czuję twe cierpienia!  
Tobie to boleć, na cię los i ludzie,  
Tys to urągał ich dumie, obłudzie!  
Ale to dziecię — jakąż jego wina?



Pomiędzy trudów, umartwień cierniami,  
Tys ją polewał łzami, westchnieniami;  
I otoż wzrosła lilia jedyna!  
Teraz jej w wdzięki, wkrasę się rozwinąć,  
Niewinnych uciech zdrojami rozplynać,  
A ona . . . — z dumy, w dumy niezliczone  
Tonie i tonie w smutne, zaszępienie.  
Morze ma groźne, nieprzejrzane fale:  
Walą się, pienia, rozbijają, toczą;  
Człowieka skargi, zgryzoty i żale,  
Jedne na drugie tłoczą się i tłoczą.  
Wychodzą lata, owe latka młode,  
Komuż nie lubie niewiniątek czary?  
One to wiedą miłość i swobodę,  
I w ludzkie serca, tyle w przyszłość wiary!  
Jemu, to mary były uprzykrzone,  
Co senną głowę nie tylko zaburzą,  
Ale jej takąż rzeczywistość wróżą,  
I całe życie przed nim wywiedzione,  
W nienawiść, zemstę, potwarz się rozściela;  
Płyńcie — a w całym przeszłości potoku,  
Ni jednej kropki nie widać wesela.  
O płacz i stękać! w nieszczęsnego oku,  
Tej słodkiej rosy nieprzebrane zdroje.  
Ale nie mniemaj, ażeby lzy twoje,  
Jak słabe dziecko, rozczulać mię miały,  
Gotowym na nie przepatrzyć wiek cały;  
Liczyć je, ważyć, i mierzyć westchnienia.  
Tak wróg, skonaniem upasa się wroga,

Liczy krwi krople, i przedśmiertne technienia.  
Nie myśl, że wszystkie już pioruny Boga,  
Na twoją grzeszną wystrzelane głowę;  
Jeszcze ich z niebios mirijady nowe,  
Na mirijady głów drugich ciśnione;  
Z wiekami, dniami, latami, chwilami,  
Dosięgać będą takimż ciosami.  
Oto pomiędzy stopy powalone,  
I moja głowa na miazgę strzaskana!  
I ja, na życie patrzę jak na rolę,  
Co zielskiem zradnem, wyklętem zasiana,  
Jadem, nie chlebem karmi swego pana.  
Wy namiętności, głupstwa, niepokoje,  
Zwiędłą na sztuki poszarpajcie dolę;  
Wam na łup rzucam całe serce moje!  
Przyjazni, bóstwo! twój obraz uczczony,  
Gdzież tak nikczemnie, daleko odłata?  
Liść zwiędły, wichrem przez pola niesiony,  
To przyjaciele — ludzie tego świata.  
O hoża, miła, święta Ukraino!  
Zawszeż jak dawniej strojna w sady, gaje;  
Pomiędzy ziemi rozpierzchnione kraje,  
Nad krasy, krasą wystajesz jedyną?  
Czyż wspomnisz kiedy o nieszczęsnym synie,  
Co, od ciebie zdala zapomniany giule?  
O moich uczuć, marzeń rodzicielko!  
Na twojem łonie pieszczone nadzieje,  
Zrosły się w jedną wiarę silną, wielką,  
I w podniebieskie rozkwitwały dzieje.



Cześć tobie, pokłon niech będzie od wschodu,  
 Cześć od północy, południa, zachodu;  
 Jak nieskończone potępienia żale,  
 Tak, niech nie będzie końca twojej chwale.  
 Cześć tobie z każdym mego serca biciem,  
 Z każdej tęsknoty, boleści, cierpienia;  
 A kiedy przyjdzie rozstawać się z życiem,  
 Od ostatniego cześć tobie westchnienia.

**IV.**

*Córka Jęstego.*

Tęskno tobie serce moje,  
 Powiedz serce co cię boli;  
 Ja niewolnik twojej woli;  
 Powiedz, powiedz serce moje?  
 O swawolne, o pieszczone!  
 Czego żadasz powiedz śmiało?  
 Czego serce ci nie stało?  
 Za czem tęsknisz upragnione?  
 Ono milczy nieszczęśliwe,  
 Niby dziecię uporczywe.

Ot cichy wieczor! drobnych muszek krocie,  
 Z chmurek, w chmurki się zlewajaj;  
 I lekkie serca, także w grach, pustocie  
 Splatają się, rozplatają.

Ot się pstrą poniosły tęczą!  
 Nuż za nimi serce moje!  
 Tam przesumiają, tam przebrzęczą  
 Wesolutkie chwile twoje.  
 Ono milczy nieszczęśliwe,  
 Niby dziecię uporczywe.

Przed tobą żądze ścielę wszystkie rzędem:  
 Wybieraj z nich ulubioną —  
 A wnet z iskry, jednym pędem,  
 Pożary buchną, zapłoną.

I polecim i przelecim,  
 Po nad ludzkich sił dzielnice,  
 Rozwijem się, i zaświecim  
 Po nad losów złych ciemnice.  
 A ty jeszcze nieszczęśliwe,  
 Milczysz dziecię uporczywe.

Tak salamandrą, we własnych płomieniach  
 Gińże, przepadaj w szalonych cierpieniach.

Ja, wszystkich marzeń czarowne uploty,  
 Wyrzucę z piersi znąkanej,

.....  
 .....



Ono jeszcze nieszczęśliwe,  
Milczy dziecko uporczywe.  
Jakże bole twe ukoję,  
Powiedz, powiedz serce moje?

Ono mocniej, głośniej bije,  
Już ostyga, dogorywa;  
Słabe zamrze, znów ożyje,  
Znowu ogniem się rozplywa.

O dziwaczne, o szalone!  
Serce, ty żądasz kochania —  
Kiedyż, kiedyż nauczone,  
Z tego wyjdiesz obłąkania?

Patrz przed siebie, i za siebie,  
Rosną lilije dziewice,  
Kwitną róże, krasawice;  
Ale rosną, ale kwitną nie dla ciebie.

Los, co między mną, światem i przyszłością,  
Dołem, przepaścią, grobem się rozpiera;  
Nie tylko z darów najlichszych odziera,  
Każe się żegnać z przyjaźnią, miłością.

Tak polecim serce moje,  
Na przeszłości zmarłej kraje;  
Ot już żywa, młoda wstaje,  
I odsłania lica swoje.



Patrzaj za morza! tam puszczy ramiona  
Z dwóch stron zachodzą, tam góra się wspina;  
A tam samotna, cicha, niezmierzona,  
Daleko, wolno, ciągnie się dolina.

Nad wązkim strumykiem,  
Pod ciemnym gaikiem,  
Stoi mała tam chateczka:  
Z młodemi latkami,  
Czarnemi oczkami,  
Miła, piękną tam dziewczeczka.

Za coż tu gołąbko biedna,  
Marnujesz wiek młody?  
Bóg ci tyle dał urody!  
A ty sama jedna.

Za coż ciągle obrócona,  
Do Izraela dziedziny,  
Przez całe długie godziny,  
Stoisz smutna, zamysłona?

Nie ztąd ci jasnej pogody,  
Czekać o bujna, zielona!  
Na twoje krasne jagody,  
Latorostko opuszczona!

Za coż łzami poroszone,  
Ciemnieją, mdleją zrenice,  
I jutrenką zrumienione,  
Za coż błędną twoje lice.





Nie, ty nie kochasz dziewczyno —  
Z powiewem wietrzyka,  
Ze szmérem strumyka,  
Nie do milego twe westchnienia płyną.

Jeszcze z dziewiczego wieńca,  
Nie uwiądl ci żaden pączek,  
Ręka żadnego młodzieńca,  
Nie ścisła twoich rączek.

O nie gruchaj, tak nie wzdychaj  
Moja luba turkaweczko!  
Po rodzinie o dzieweczko,  
Dniach ubiegłych nie usychaj.

I ja jeden zarzucony,  
Huraganem na pustynię,  
.....  
Wzdycham, tęsknę opuszczony.

Tak niech nasze łzy, westchnienia  
Zlewają się i spływają;  
Z marzeniami, niech marzenia  
Rozrastają, rozkwitają.

Samotniczko moja tkliwa,  
Nie opuszczaj samotnika!  
Jego dusza nieszczęśliwa,  
Z cieniów pod cienie gaika,

Po pagórkach, po dolinach,  
Po zaroślach, po równinach,  
Niechaj z tobą błądzi, śpiewa.

Skowronkiem się w obłok rzucę,  
Zatrzepocę i zapieję;  
I słowikiem ci zanucę,  
Z piosnek, w piosnki się rozleję.

Dziwczcze! ty jeszcze stoisz zamysłone,  
Jeszcze poglądasz w Izraela stronę.  
O! za tumanem, rośnie tuman kurzu,  
Scieli się, niesie po szerokiem wzgórzu,  
Bliżej i bliżej, i oto od stali  
Sypią się iskry i migocą w dali.  
Raduj się, raduj! z zwyciężkiej wyprawy,  
Wiedzie twój ojciec wesolą drużynę;  
Wiele on łupów, więcej jeszcze sławy,  
Przynosi w cichą, ustronną dolinę.



V.

*Powrót z wyprawy.*

Bliżej i bliżej, i oto z kurzawy  
Ludzie i zbroje, wypływają konie;  
I ot! na czele mąż bojów, mąż sławy,  
Wyniosły, dumny, niby król w koronie.  
    To on, to syn przeznaczenia,  
    Pierwszy z dzieci Izraela,  
    Mąż piorunnego ramienia;  
    To postrach nieprzyjaciela.  
    Z pomiędzy dębów Bazanu,  
    Najwyższy z cedrów Libanu,  
Przed burzą całe gaje palm ochrania;  
A Jefte ludzi, swych ziomeków osłania.  
Wygnaniec z rodu, z okrutnej ojczyzny,  
Stękał i jęczał, wyrzekał nie długo,  
Nie długo w serca wpatrywał się blizny;  
Ni mściwych losów był pokornym sługą.  
Stałość przemogła — Bohatera oko,  
Znowu potęgą ducha zajaśniało,  
Znowu mu z mroku jak dawniej szeroko,  
Pasma odważnych dum się rozczesało.

.....  
.....

I teraz, kiedy córka ukochana  
Bieży w objęcia wielkiego rodzica;  
Jękiem tak wielu jeńców zagłuszana,  
Brzmi piosnką nowych zwycięstw okolica.  
Niechaj brzmi piosnka — to strumyk wezbrany,  
Co się zdrojami cichemi, słodkimi,  
Zlewa na trudy, cierpienia, ich rany;  
Ale ty serce nie raduj się z niemi.  
Niechaj brzmi piosnka — to potok spieniony,  
To harmonijny, to potok żyjący,  
Co w bujne, wzniosłe rozłacza się tony,  
I serc i duchów, porywa tysiące.  
Niechajże płynie z tysiącami swemi,  
Ale ty serce nie raduj się z niemi.  
Przyjdą te czasy — Po coż tak boleśnie,  
O pocoż serce rozdzierać cię wczesnie!  
Przyjdą te czasy — od Dan do Berseba,  
Upadnie klęska na dóm Izraela,  
Wszzechmocnym gniewem zachmurzą się Nieba,  
I będzie ciemno w krainie wesela.  
Przyjdą — i same echa zaniemieją,  
Co dzisiaj huczą chórami okrzyków;  
A jeżeli kiedy ozwał się pośmieją,  
To tysiąckroć przeraźliwiej,  
I okropniej i dotkliwiej,  
Niż wszystkie jęki tych niewolników.  
O serce, serce! po coż bez przyczyny,  
Tak się wpatrywać daleko, głęboko?  
Nie tobie zmierzyć przepaści głębin,



Ani dosięgnąć pod ciemną obłoków,  
Lepiej ci z chwili przelatać na chwilę,  
Jak lecą z trawki na trawkę motyle;  
Na świat się boży napatrzeć, nadziwić,  
Młde siły jego nektarem odżywić.  
Oto piosnka długo brzmiała!  
Piosnka dawno już ustała —  
A jeszcze do ojca łona  
Przysłonięta, przytulona,  
Nie nacieszy się dziewica,  
Nie naściska, nacałuje;  
I całuje, obejmuje  
Ręce; nogi u rodzica.  
Popłynęły łzy radości,  
Córce, ojcu popłynęły;  
Słodkiej, cichej łzy żalości,  
Na ich licach zabłysnęły.  
»O! przy tobie ojciec drogi,  
»Ni tęsknoty, ni mi trwogi;  
»Nibym zmarła znów ożyła,  
»Znowu na świat się rodziła.  
»Nie zostawiaj mnie tak jednej,  
»Nie rzucaj sieroty biednej! —  
»Ach! tak często w cudze kraje,  
»Nie jedź ojciec na te boje;  
»Tam na drodze życie twoje,  
»Tyle wrogów złych nastaje!  
»Nie lękaj się miłe dziecko,  
»Moja duszo, moje życie,

»Nie zostawię cię jednej,  
»Nie rzucę sieroty biednej.«  
I silnego mąż ramienia,  
Córkę jeszcze raz uściska,  
Jeszcze z oczów mu wytryska  
Łza rokoszy, rozrzewnienia.  
Nie wszystkich to Twórca Nieba,  
Na łzy takie błogosławi:  
Wiele cierpieć, boleć trzeba,  
Nim z samego dna rozpaczy,  
Dla nieszczęsnych, dla tułaczy,  
Taka perła się wypławi.  
I cóż mu przyszłość? Niechaj nań tam czeka,  
Niechaj się nocą jak zbójca okrywa;  
Ale on teraz po nad szczęście człeka,  
I jego córka jedyna szczęśliwa.  
Chwile to błogie, chwile niezrównane!  
I gdyby wola świętej opatrności,  
I mojej całej żądała przyszłości,  
Za jedną taką chwileczkę w zamianę;  
Oddałbym chętnie jej stoletnie nudy,  
Za ten płomyczek nadziejskiej uludy.  
I spojrzął ufny w Izraela strony,  
Jakby chciał wyzwąć ztąd dawne wspomnienia;  
I jadowite, smutne, zasępiione,  
Zatopić razem w tej łzie rozrzewnienia.



Darmo — wyzwane émą grubą stanęły,  
 Nie na to, żeby w tej kropli tonęły.  
 Chmurzy się czoło, lica mu blednieją:  
 To nie człowiecze, to tygrysie oczy,  
 W koło okropnie, dziko niemi, toczy,  
 A drzące usta blednieją, sinieją.  
 Ach! to nie Jefe, co na sądy Boże,  
 Pokornie zdaje ludzkie przewinienie;  
 To kipi zemstą wygnańca spojrzenie,  
 Co się rzekami krwi napaść nie może.  
 Odejdź dziewczyno! ty wiesz tę chorobę,  
 Co nań tak ciężko, tak często nachodzi;  
 Nie raz godziny, nie raz całą dobę,  
 On tak milczący sam z sobą przewodzi.  
 Gdyby sam anioł od tronu Jehowy,  
 Gościem niebieskim przyszedł z nim pomówić;  
 On by i wtenczas ponury, surowy,  
 Zaledwie słówkiem raczył go pozdrowić.  
 Ach! to choroba ciężka moje dziecko!  
 Nad nią złośliwszej nie znajdziesz na świecie.  
 Odeszło dziewcze ciche, zalęknione,  
 A on pozostał — by na serca szczątki  
 Niedoszarpane, nie całkiem spalone,  
 Wywołać jeszcze zjadliwsze pamiątki:  
 Nie jak pelikan, ażeby pisklęta,  
 Krwią swoich piersi i ciałem hodować;

Lecz żeby życia nienawistne pęta,  
 Do reszty pobić, porwać, potratować.  
 Wiosno, wiosno! ty młodości!  
 Precz twe lśniące, marne dary!  
 Ni mi czucia, ni mi wiary,  
 Ni roskoszy, ni żałości.

.....  
 .....

Wpółmartwym wzrokiem wódz pogląda w koło,  
 I na dół skłania rozognione czoło.  
 A arfy znajome tony,  
 Z zarosli się przekradają:  
 Przelewają się zlewają,  
 W głosik cichy, wypieszczony.



VI.

*Złamanie Bożych przykazań.*

Duchu, duchu obłąkany,  
Duchu, duchu mój znękanym!  
Cóż cię tak więzi w tych piersiach omdlałych?  
Ani znaku w tobie życia,  
Jakbyś martwy był z powicia;  
A ja cię budzę, wołam po dniach całych.  
Ach! bo nudno tu dnie cieką,  
Niby źródle stęchłej wody;  
Ni to stoją, ni się wleką,  
Ni im burzy, ni pogody.  
Duchu, duchu na swobodę!  
Tam to w pełni się rozlejesz,  
I roztoczysz i rozwiejesz,  
Jak świat długi, nieskończony.  
A w tobie ni znaku życia,  
Jakbyś martwy był z powicia,  
Wiekami cierpień zavalony.  
Ach! bo ta długa, nielitośna zima,  
Jakby na moją zgubę się uwzięła,  
Nie tylko ziemię pod siebie zajęła,  
I mnie w objęciach lodowatych trzyma.

Duchu, duchu na swobodę!  
Wspomnijno na ptasie rody!  
Czyliż czekają, aż na żółtkłe gaje  
Rzuci się zbrojna w śnieżyste zawieje;  
I tych latawców pomrożone staje,  
Z pod chmur pod nogi człowieka rozsieję?  
Ledwo wiatr pierwszy przychód jej obwieści:  
Półki skrzydlate kupią się, zbierają;  
Jeszcze bór liściem półzwiędłym szeleści,  
A one brzegi Azji witają.  
Duchu mój, duchu, i ty dziecie słońca,  
Dalejże w jego promieniste ślady!  
Jak nie masz twojej śmiałości zawady,  
Tak i lotowi niech nie będzie końca.  
I ja was witam o błogosławione,  
Równiny wiecznie zielone!  
Przyjmcie, o przyjmcie na chwilę pielgrzyma,  
Nie odmawiajcie słabemu spoczynku!  
On wam z północy niesie w upominku,  
To co nad złoto, nad perły on trzyma:  
Nad waszą rosę jaśniejsze łez źródle,  
Ciche westchnienia i piosenki swoje.  
Do gorącego przytulcie go łona,  
Osłońcie palmy złotowłosej cieniem;  
Powiećcie wiatry balsamicznem technieniem,  
I na rokoszne schwyćcie go ramiona:  
Z kraju, do kraju, i z ziemi do ziemi,  
Nieście go skrzydły bujnemi, lotnemi.  
I nowe gwiazdy świecą się nade mną,



I nowe kwiaty ścielą się pode mną,  
I wschód się cudów roztacza obrazem: —  
To raj, to rajów tysiące zarazem.  
Oczy, me oczy, czyż się napatrzycie,  
Czyż się do woli kiedy nacieszycie?  
Czyż wypowiecie moje usta godnie,  
Wielkie tej strony nieszczęścia i zbrodnie?  
Tu pierwsza para ludzkiego plemienia,  
Gorzko nad sobą pierwszy raz płakała;  
Tu od zabójcy mściwego ramienia,  
Krew się niewinna pierwszy raz polała;  
I odtąd łzawe, i krwawe ruczaje  
Płyną, i płyną przez wyklęte kraje.  
Czemuż choć wszystek świat im wydzielony,  
Dla nich najmiłsze Chananejskie strony?  
I gdzie nie zajdą, kędy się nie rzucą,  
Zawsze po długim obiegu tu wróćą:  
Groby narodów jak je tu przywodzą,  
Tak nowe groby i ztąd je wywodzą.  
Ot! znowu płyną, winowajców żale,  
By znowu ponieść przez wezbrane fale.  
Synai, synaj! czy pomnisz o góro!  
Kiedy zalana ognistym potopem,  
Z dołu do szczytu opasana chmurą,  
Drżałaś jak listek pod niebieskim stropem?  
Był to dzień wielki w dziejach przyrodzenia,  
Kiedy Bóg mówił do swego stworzenia.  
»Na wieki wieków wszechmogący Panie,  
»Niech się twa wola przenajświętsza stanie.»

Nieprzeliczone tysiące wołały,  
Nieprzeliczone u stóp twych klęczały.  
Patrzajże teraz na te żyzne pola,  
Jak się rozlega tam naród fałszywy!  
W ziarno i owoc bogate mu niwy,  
Ale gdzież święta Przedwiecznego wola?  
Gdzież owa klątwa? »Niechaj nasze winy  
»Upadną na nas, i na synów syny.«  
Synai milczy — piorunowe strzały,  
Choć jej nie darmo dzwigają ramiona;  
Ale zarazem bezbożnych ród cały,  
Nie wymorduje ze śmiertelnych grona.  
Synai milczy — bo postrzega w dali  
Chmury, co niosą pioruny ze stali.  
O morze! pomnisz kiedy skamieniałe,  
Twe nurty na dwie rozdarły się ściany;  
A Izraela zastęp nieprzejrzany,  
Jak gdyby łakę, przebiegł dno twe całe?  
Morze to pomni, widzi synów syny,  
I wiarołomnych widzi ciężkie winy:  
Lecz ono milczy — bo postrzega w dali  
Chmury, co niosą pioruny ze stali.



**VII.**

*R o z p u s t a .*

Gdyby mi przyszło za grzechy śmiertelne,  
 Karę dla siebie samego wybierać;  
 Od gniewnych ludzi, czy niebios umierac.  
 O wteuczaj ognie, wy mocy piekielne!  
 Na węgiel, popiół przepalcie me szczątki,  
 Przywalcie góry, zatopcie mię rzeki,  
 Rozszarpacie wichry! — Niechaj późne wieki  
 Zadrzą na same śmierci mej pamiątki.  
 Ale niech człowiek, robak robakowi,  
 Niech się nie wgryza szatanem do serca;  
 Ni krwią mą własną ociekły morderca,  
 Niech nie urąga cichemu żalowi.

!! Listki moje, wy listeczki,  
 Pożółkłyście, pobledniały,  
 Rozbiegłyście się, rozsiały,  
 Porzucacie mię dziateczki.

Cóż wam winna matka wasza,  
 Że ją samą opuszczacie,  
 Czyż was zima tak zastrasza,  
 Czyż się wichrów jej lękacie?

Taka piosnka była drzewa,  
 Bo się listki z nim rozstają;  
 I tak serce moje śpiewa,  
 Młode latka go rzucają.

Przyjdzie wiosna, z nią listeczki,  
 Z łona mu się znów wyklują;  
 Do rąk zielone dziateczki,  
 Do głowy się pozlatują.

Ale mnie oświecie, świecie!  
 Któż powróci co pomija?  
 Czyż się kwiatek znów rozwija,  
 Gdy go mściwy grad zagniecie?

Nic tak nie trwoży, jak zemsta Jehowy:  
 Kiedy widomie, przed oczy,  
 Z pod ziemi, albo z niebios się wytoczy,  
 I na zbrodniarzów opuszcza się głowy.  
 Ale nie boli, nie tak nie dopieka;  
 Jak zemsta brata, bliźniego, człowieka.  
 Znają to dobrze Izraela syny —  
 O ludzie, ludzie! z wszystkich końców świata,  
 Za mną, tu za mną w dalekie krainy,  
 I jeszcze w dalsze puszczajcie się lata.  
 Pytajcie, jakie to morze?  
 Ono się w środku pustyni rozlega —  
 Czyli powstają, czy zachodzą zorze,  
 Ono spi martwe od brzegu do brzegu;



I w całej sennej, nieobjętej dali,  
Ni jednej zgnitej nie poruszy fali; —  
A w koło góry, pagórki i stepy  
Ciągną się nagie jak trupie czerepy —  
Wam odpowiedzą ze śmiertelnem drzeniem:  
» Tam, kędy teraz te wyklęte wody,  
» Niegdyś przed wieki stały wielkie grody,  
» Najwystępniejsze pod niebios sklepieniem!  
» Wieczny im pokój w bezdennej głębinie —  
» Straszna ich pamięć nigdy nie zaginie —  
» Bóg ich pokarał, Bóg im i przebaczy. «  
Ale człek człeku nie przebacza winy.  
Pytajcie znouu jakie to ruiny,  
Co to za groby, i co krew ta znaczy?  
Zajęczą w jeden jęk całe gromady:  
» To Ammonitów, Filistynów ślady!  
» Naszych pradziadów, dziadów zamorzyły,  
» Nieprzechodzone, ich mnogie ciemnice;  
» I teraz, nasze żony i dziewice  
» Więdną wtrącone żywcem w te mogiły. «  
Ziemia, powietrze, ni ogień, ni woda,  
Takiej dla ludzi nie wynajdą męki;  
Jak człowiek, kiedy do bezbożnej ręki,  
Los z całą władzą i bicze swe poda.  
Znają to dobrze Izraela syny —  
Ale przed Bogiem bez liczby i miary,  
Rosną i rosną ich śmiertelne winy;  
Ni śladu świętych zakonów i wiary.  
Bogi drewniane, kamienne i złote,

Wojskiem bałwanów zaległy wyżyny;  
A-u wrót możnych zdeptane sieroty,  
Cichemi łzami skrapiają niziny.  
Po nad ołtarze i święcone gaje,  
Kłębią się wonne chmury za chmurami;  
A chciwe, zradne, wynudane zgraje  
Szarpia się, gryzą wilczemi zębami,  
Już dojrzewają zagony ich żyzne,  
A im trud cały, rokoszne biesiady;  
A wszyscy mędrsi nad siwą starszyzną,  
Za nic jej ważą rozkazy i rady.  
Oto dzień święty! a z nim nowe gody —  
To nie las szumi, nie wezbrane wody,  
To gwar, to hałas pijany  
Idzie przez doły, polany.  
I srebrne, złote zajaśniały stroje,  
I srebrne, złote zabrzączały czary;  
Leją się wina nieprzebrane zdroje;  
Pałają się bogom, boginiom ofiary.  
» Żyjmy, pijmy w długie lata,  
» Samowładne sobie pany;  
» Dalej zadzwón brat do brata  
» W kubki, czary, roztruchany. «  
Idzie poklask, idzie wrzawa,  
Znów ucichnie, znów powstawa.  
Kwiatki, kwiateczki ścielą się po błoniach,  
Perły, rubiny po dziewiczych skroniach;  
Ale nad kwiaty, nad perły, rubiny,  
Lica i oczy lubieżnej dziewczyny.



I koło pięknych zwinie się, rozwinie,  
Uderzy w arfy i zaklaszcze w dłonie;  
I harmonijny, brzącający ton po tonie,  
Ruczajem pieśni i płynie i płynie.

Do nas chłopcy hoże, krasne!  
I my hoże, czarnobrywe;  
Oczy duże, czarne, jasne,  
Rozkochane serca tkliwe.

I różowe, koralowe  
Lice, usta ogniem płoną;  
I łabędzie, lilijowe  
Wzdyma się i wzdyma łono.

Hebanowe nasze kosy,  
Wiatrem zwieją się rozwieją;  
Melodyjne nasze głosy  
Mdleją, czarują i mdleją.

Do nas chłopcy się zbiegajcie  
Na całusy, uściśnienia;  
Z rozpalonych ust westchnienia  
Wysysajcie, wypijajcie.

Przed jaskrawym dniem, porankiem,  
Ciemny gaik nas osłoni;  
Ni kochanka przed kochankiem,  
Zarumieni się, zapłoni.

A chmury toczą i toczą się w dali,  
Niosą i niosą pioruny ze stali —  
Już się wynoszą nad gór okolice,  
I na dół czarną nocą opuszczają:  
Nie w powodzie, nawałnice,  
W tłum się zbrojnych rozlewają.

Rozwijają się szeregi,  
Nad Jordanu dzikie brzegi.  
Biada, wam biada Izraela syny!

Ojców i wasze padną na was winy.  
Tak to corocznie, gdy dojrzeją żniwa,  
Zbóż pełne gumna, winogron winnice;  
Na Judzką ziemię takież nawałnice,  
Taż się opuszcza szarańcza zjadliwa:  
Wszystko zabiera jak górne powodzie,  
Mieszkańców w nędzy porzuca i głodzie.



VIII.

*Najazd Ammonitów.*

Widziałem, widzę jeszcze pomieszanie,  
Tę trwogę bladą, niemą, osłupiałą,  
Cóż krew zamrozi i w dreszcz rzuci ciało;  
W oczach nad czoło wyteżonych stanie.  
Darmo zawistne wieki chcą przede mną,  
Własnym szkieletem przykryć proch ludzkości;  
Rzuciłem okiem w ich tajemną podziemną —  
I stopy, góry odłoniły kości.  
Z grobów, przepaści podnoszą się głowy,  
Kości się w naród zbiegają Jehowy:  
Nie na to, żeby do życia przykuty,  
Dziwił mnie, straszyl w samotne minuty;  
Lecz bym wyczytał z twarzy jego czyny.  
A potem cisnął do pierwszej ruiny.  
I my też po nas rzucimy ostatki!  
Tem różne tylko, że nikt z potomności,  
Nie zechce na to wyzwać ich z nicości;  
By próżne myśli, próżniejszych dzieł świadki,  
Wywodzić z rysów niemych, pokazanych.  
Widzę ich straszna kłęską zagrożonych —

To razem wszystkie dzieci Izraela!  
A wśród nich cicho, tak głucho, ponuro:  
Niby widomie nad całą naturą,  
Cięży gniewnego ręka stwórcy.  
Cóż nie pijecie? nuże za puhary!  
Dalej zasiądźcie w biesiadnicze koła!  
Niech stara дума wejdzie wam na czoła,  
I z oczów błysnie duch odwagi stary.  
Nuże za zdrowie gości Ammonitów!  
Jak wasze wino leje się zdrojami,  
I krew ich także niech płynie rzekami.  
Siła na siłę! — Dalej do szabel, dziuraków!  
Oni nie słyszą — Za zgrajami zgraje  
Cisną się, tłoczą, rozszypują, gonią;  
Tu puszcza ustron bezpieczną podaje,  
Tam w lwie, tygrysie jaskinie się chronią.  
Stłuczone misy, niedopite czary,  
Zostały bogi i bogów ofiary —  
Czemuż czcicieli swoich nie ratują?  
Wrzask przeraźliwy, jęki, narzekania,  
Głośnie, głośniejsze rozchodzą się łkania, —  
One nie widzą, nie słyszą, nie czują.  
To żony mężów, kochanków dziewczęta,  
To płaczą dzieci, niewinne pisklęta;  
Ale któż w ludzkiej, czy anielskiej mowie,  
Rozdzierający jęk matek wypowie!  
Kobiety płocze, słabe, nieszczęśliwe,  
Za coż wam niebo z tejże dało ręki,  
Razem tak zgubne i ponętne wdzięki,



Serca swawolne, i serca tak tkliwe!  
Mdlejcie posród boleści, uciechy,  
Zawsze szła tenże i żale i śmiechy —;  
Wam tylko kochać, czarować i śpiewać,  
W łzy się miłości, pokuty rozlewać.  
Powietrzny zbójca w obłokach zawisnie —  
Kokosz przed złego jastrzębia szponami,  
Zwołuje dziatki, otula skrzydłami.  
Nieprzyjaciela miecz krwawo zabłyśnie —  
I czułe matki także własnym łonem,  
Dziatki osłonią, własnym zbawią zgonem.  
Jastrząb się rzuca i kokosz porywa —  
Ale was wrogi, śmierć, hańba tu wzywa.  
Słuchajcie jeśli możecie bez drzenia!  
To ich błagalne do Jehowy pienia: —  
Głosy aniołów z ich głosem spływają,  
Pieją i pieją pobożne grzesznice;  
W wiecznie otwarte niebieskie skarbnice,  
Łzy żalu, skruchy serdecznej zlewają.  
Duch, co przez światów ogromy, przestwory,  
Toczy falami życia oceany;  
Niszczy, i z tworów wyprowadza twory,  
Sam wszechmogący, wielki, niepoznany  
Powionął z niebios na syny zmartwienia —  
W proch ponurzone podnoszą się czoła,  
Znów się odwagą oko rozpromienia,  
Nadzieja każdy, nadzieja, zawoła!  
I ja za niemi powtarzam nadzieja,  
A chłód śmiertelny co za serce ściska,

A wiecznie głodna na dnie jego zmija,  
A żar piekielny, co rzuca w omdlenie,  
I łąż kochanką z zrenicy wytryska —  
Potępienie tobie, mówi potępienie.

IX.

*Obiór Wodza.*

Skąd ci przyszło łezko biedna,  
Ze tak wczesnie, niespodzianie,  
Na me dobro, czy skaranie,  
Wytrysnęłaś sama jedna?

Dawniej mię zwykłaś wieczorem, kochankiem,  
W siostrzyczek twoich nawiedzać potoku;  
Dziś ledwo słońce wyszło za porankiem,  
I ty już łezko błyszczysz w mojem oku;  
I z sobą myśli rozłączasz powodzie,  
Po życia mego posępny obwodzie.  
Myśli moje, katy moje!  
Myśli moje, cacka, Bogi moje!



Rozlatują się pieszczotki,  
W pasma nici rozwiedzione,  
Niby z tęczy wyprzędzone,  
Rozmalują się w błyskotki.  
Jak świat wielkim, cudnym światem,  
Rozświeca się jednym kwiatem.  
Chwila — one możliwe, śmiałe,  
Wichrem pomiotą się w górę,  
I wybiegą nad naturę,  
Strojne, pyszne, wybujałe;  
I zasłonią świat pode mną,  
I odsłonią raj przede mną —  
Ja brat duchów nieskażonych,  
Po nad gwiazdy wyniesionych.  
Chwila — i serce wśród płomieni nowych,  
Rozboli się, rozgoreje;  
Jak grzeszna dusza na mękach czyscowych,  
Ogniem żyje, ogniem zieję.  
I ja wąty, mdły i słaby,  
Z gadzinami, padalcami,  
Po ziemi z temiż wlokę się myślami;  
I klnę ich marną wielkość i powaby.  
Ja robaczek, proszek drobny,  
Latać, pełzać niesposobny —  
Lecz ty z kolebki pod nogi rzucony,  
Dziwny człowiecze! skąd ty tak urosłeś,  
Jedną olbrzymią myślą oskrzydłony,  
Tak się wysoko nad ludzi wyniosłeś?  
I nigdy w twoim nieustajesz locie;

Chiba że iskra zbudzonej pamięci,  
Czasem na padół płaczu cię zanęci.  
Tam, zagrzebany w wyroków ciemnocie,  
Ciągłe się wglądasz w przyszłości zwierciadła.  
Jak się odbija księżyc w wód potoku;  
Tak się i w twojem odbijają oku,  
Przyszłych dni świetne lub ciemne widziadła;  
A krwią twą wszystkie części ich spojone,  
Z krwi twej ich główne rysy wywiedzione.  
Pokłon ci Jefe, synu przeznaczenia!  
Za tobą długi, odludny, tułaczy,  
Żywot ucisku, zgryzoty, rozpaczy;  
Przed tobą wszystkie nadzieje, życzenia,  
Siłą możnego ducha porodzone,  
Mocą niebieską pobłogosławione.  
Patrzaj tam w dali jaka to gromada?  
To nie bezwstydnym zgraja rozpustników,  
Co z chórem pijanych, szyderych okrzyków,  
Podłą szarańczą na niedolę spada;  
I lubi długo rozbestwionem okiem,  
Poić się cierpień jej miłym widokiem.  
To nie szanowne owych czułych grono,  
Co rad przemądrych, słodkich słówek krocie,  
Zgłodniałej wdowie, półnagiej sierocie,  
Tak hojnie sypie w rozbolale łono.  
To z narodowej najpierwsi starszyny,  
.....  
Poważni wiekiem, długim doświadczeniem,  
Szczerością, wiarą i prawem sumieniem,



Z wszystkich pokoleń posły przed nim stają  
I siwe głowy do ziemi skłaniają.  
A taki smutek, przestrach w ich wejrzeniu,  
Taka pokora w głębokim westchnieniu;  
Mówią — a każde słowo pomieszanie,  
Przerywa ciche, niewyraźne łkanie.

» My nieposłuszni przed Panem na niebie,

» I bez litości byliśmy dla ciebie.

» Synu niewiasty! on nigdy na wieki

» Pozbawia grzesznych swej świętej opieki.«

I umilkli.

» Słabych, niewinnych wysłuchaj wołanie,

» Przebacz ich ojcom, przebacz dobry panie.«

I jeszcze umilkli.

I milczeć będą, aż jedyne słowo

Z ust wodza, przerwie tę ciszę grobową.

X.

*Tęsknota.*

Dzień idzie po dniu słotny i ponury,

Chmury i chmury wloką się na chmury;

I całem niebem ze wszech stron owładły,

I murowaną ścianą się pokładły,

I uwięziły ogniste,

Słońce wolne, promieniste:

Jakby niewolnik z za żelaznej kraty;

Tak i ono uwięzione,

Wygląda blade, zmienione,

Na w koło siebie rozproszone światy.

I serce burzą uczuć zarzucone,

Ledwie z nich wyjrzy, i także w nich tonie;

Rwie się we własne pęta uwięzione,

I umęczone słabnie jak przy skonie —

A w koło niego myśli, jak powiędłe kwiaty,

Ach to moje słońce, a to jego światy!

Przykro, posępnie, to mgłą się rozsieją,

To rzeki deszczu na rzeki wyleją;

I znowu jakby tam wiekować chciały,

Te chmury bardziej tak się kupią, ciemią;

Ze ledwo widny między niebem, ziemią,



Waży się przekraść dzień trwożny, nieśmiały.  
I moje serce, burza uczuć mrokiem,  
Tak oprowadza ciemnym i głębokim;  
Ze ledwo przez nie iskierka nadziei,  
Na chwilkę martwym płomykiem zatleje;  
I między życiem, śmiercią się przeciska;  
Gaśnie, i znowu sama z siebie błyska.  
Tak zda się próchno istnym ogniem pali,  
Tak trupie kości płomienią się w dali:  
A w bliży z ognia, z tych marnych płomieni,  
Tylko zgnilizna, obłąd, omamienie.  
Słońce! gdzież owe pyszne, wystrojone  
Dnie, co z twojego łona wywiedzione,  
Wpółśród oklasków wszech stworzeń i chwały,  
Za tobą świetnym szeregiem stąpały?  
Serce! gdzież krótkie, ledwo znane chwile,  
Co się rojami w twej głębi rodziły,  
Tyle radości, uciech, szczęścia tyle,  
Do ciebie zewsząd tak często znosiły?  
I było tobie w pośród nich tak miło,  
Jak gdybyś w piersiach anielskich się biło.  
Słońce te wątle chmur pajęczce sieci,  
Zechce — i w moment zrywa, szarpie, miecie;  
I majestat jego lica,  
Znow potęgą się rozświeca:  
I jak monarcha przez pola błękitu,  
Idzie złocistą otoczone switą,  
Dni pogodnych, uroczystych,  
I młodzieńczych, i ognistych.

Ale tobie serce moje,  
Nie rozerwać pęta swoje!  
Zawsze i wszędzie tęskno ci ponuro,  
Troska za troską, i chmura za chmurą.  
Tak biedny rozbit z głębin morskich toni,  
Na jednej desce zbawia reszty życia!  
A w posród wichrów, szumu, trzasku, wycia,  
Fala za falą, śmierć za śmiercią goni:  
I tak nań jedna uderza za drugą,  
I tak mu w oczach żółcieje, ciemnieje;  
Aż zmęczonemu walką straszną, długą,  
Uchodzą wszystkie siły i nadzieje.  
Czyż ni na ziemi, ni na dobrem niebie,  
Nie masz dla niego jednego wejrzienia?  
Czyliż z nim razem w nurtach się zagrzebie,  
I pamięć jego uczuć i cierpienia?  
O nie — Ot zdala z strony Izraela,  
Nad prochy dawno wymarłego świata,  
Dziewicza piękność wznosi się, wylata;  
I opiekuńczą gwiazdą rozwesela.  
Ona tak czuła! nad nim się użali,  
I iskrę życia nowego zapali;  
Ona mu wichry położy pod nogi,  
Rozkaże fałom — i ugłaskane,  
Zlekka go, zwolna przez oceany,  
Niesć będą póty na wieczności progi:  
Aż każda boleść wypowie swe dzieje,  
Aż namiętności, straszne niepokoje,  
Co przeszły wszystkie męczarni koleje,



Zleją się razem w harmonijne stroje;  
I popłyną zdrojami  
Rospaczy, żalu, miłości pieśniami,  
Do serca ludzi popłyną.

**XI.**

*Córka Jęftego w rodzinnej stronie.*

Widzę cię, widzę piękna pustelnico!  
Rysy, półrysy w twarzyczkę się zleją,  
Zbiegą się w ustka, rumieńcem zaświecą,  
I znów się we mgłę, w złudzenie rozsieją.  
Znowu wyraźniej wynurzone z mroku,  
Z wdzięków się w drugie przesnuwają wdzięki;  
Splotą się, zrosną w pół nożki, w pół ręki,  
Zmącą się, staną wpół piersi, wpół oku;  
Lśnią się, drżą, ciemnią, drżą, lśnią się, ciemnieją;  
I w dużych, czarnych oczach zajaśniają.  
Tak wędrowcowi chociaż obraz lubej,  
Na małą chwilkę ucieknie z przed oczy;  
Za chwilę znowu wypływa z émy grubej,  
I w całej krasie przed nim się roztoczy;

I po nad morza, po nad setne kraje,  
Ponętą wdzięków, miłości wystaje.  
O miłe, błogie, niebieskie zjawienie,  
I ty się ze mną nigdy nie rozstawaj;  
Gdzie nie potrąci straszne przeznaczenie,  
Nad jego przemoc i burze wystawaj.  
Niechaj ni jedno z piersi mych westchnienie,  
Tułaczem w cudzą pierś się nieprzekrada,  
Niechaj ni jedna łezka z mych strumieni,  
Pod stopy ziemskiej piękności nie pada.  
Widzę cię, widzę — już pustynń ciemnica  
Nie kryje twego rumianego lica.  
Boże! jakież wdzięk uroczy,  
W te cudowne wlałeś oczy! —  
W pełne i jasne gwiazdy roztworzone,  
Tak i gorą, tak i płoną;  
W strumień promieni żywych rozpuszczone,  
Tak pływają w nim i toną.  
To wstydliwie przysłonięne,  
Cicho na dół opuszczone;  
Niewinnością błogą, świętą,  
Tak tajną wabią i ciągną ponętą.  
Lecz skądże łezka, perelka  
Wyszła na te dwa światelka?  
Słońce wschodzi i zachodzi,  
Ona z oczów jej nie schodzi —  
Ach, to łezka pożegnania!  
Łza radości, łza kochania,  
Jak wiosenny deszczyk spada,



Jak ranna rosa przepada;  
Lecz czulego łza rozstania,  
W głębię serca się przejada;  
Długo, długo nie przepada.  
Nie tęsknij dziewczę! prędko z tej wyprawy,  
Twój ojciec wróci na narodu czele,  
Przyniesie z sobą spokojność, wesele,  
I tyle zwycięstw, tryumfów i sławy! —

Niewiniątko uwierzyło,  
Tak się skoro ucieszyło!  
I rumieńczyk lekki, żywy,  
Jak cień słaby i lekliwy:  
To rozbieży się różami,  
To rozsypie liliami;  
I roskoszą i lubością,  
Technie ponętą i miłością.

O! w całym blasku niech piękność rozwita,  
Z lubieżnem na wpół odsłoniętem łonem,  
Z okiem namiętną żądzą rozpalonem,  
Niech mię uściskiem, całusem powita —

O! żar wtenczas po krwi przejdzie,  
Ścisnie serce, oddech skróci,  
Słabą głowę w zawrót rzuci, —  
Ale zawsze to kobieta będzie.

Niechże pieśzcotka w piętnastej wiosnie,  
Co to fijołkiem w cieniu rośnie —

Jak fijołek nie zna dnia jasnej pogody,  
Tak ona nie zna swej ślicznej urody —  
Niech jeden uśmiech, wejrzenie wstydlive,  
Daruje słówko półgłośnie, życzliwe!  
O! upojony, sam sobą nie władam,  
Wtenczas i duszą i sercem omdleвам;  
W łzy się roskoszy rozlewam,  
Do nóżek lubych upadam —  
To nie dziewczyna, nie fijołek,  
To istny Boży aniołek.  
Igraj dziewczyno! powabnie, zielono,  
Jak dawniej łąka rodzinna się ścieli;  
W koło rówiennic jak ty młodych grono,  
I jak ty hożych, z tobą się weseli.

Wy szczebiotliwe ptaszeczki,  
Wy różnobarwe kwiateczki,  
Do mnie wy złote motylki,  
Zbierzcie, zlećcie się na chwilkę.

Wy motylki nad jej skronie,  
Pozlatujcie się w wianeczki;  
I pod nóżki jej kwiateczki,  
Rozścielajcie się przez błonie.

Wy ptaszeczki zaśpiewajcie,  
Najhuczniejszą z waszych piosnek;  
Szczęsnej doli jej pierwiosnek,  
Wdzięcznym chórem powitajcie.



I motylki się zleciały,  
W żywe, modre jej wianeczki,  
I pod nóżki się usłały,  
Różnobarwe jej kwiateczki.

Zaszcebiotały ptaszęta,  
I zaśpiewały dziewczęta,  
I za rączki się pobrały,  
I powiodły się parami:  
Pagórkami, dolinami,  
Zaklaskały, zaśpiewały.

Wieje wietrzyk po równinie,  
Płyńcie strumyk po dolinie,  
Nie dopytać się wietrzyka,  
Nie doprosić się strumyka.

Co tam szepcesz swawolniku,  
Skąd się wziąłeś tu zuchwały;  
Ty leniwy, cichy, mały,  
Na co żalisz się strumyku?

Jeden, drugi nie nie rzeknie,  
Jak ten leci, tak ten płynie;  
Jak ten w rzece, w morzu ginie,  
Tak za góry ten ucieknie.

I my także od tej pory,  
Nic tajnego wam nie zwierzym;  
Choć w poranki i wieczory,  
Z wami poigrać wybieżym.

Zacichną zagnała, znikną swawolnice,  
Nie masz ich — tylko z za cienistych drzewek,  
Półgłośny ledwo przebija się śpiewek;  
I znów się zbiegą też same wietrznice.  
O niewiniątka! jakże mi boleśnie,  
Z wami się żegnać tak skoro, tak wczesnie!  
Jabym wam jeszcze na nótę domową,  
Zanócił piosnkę moich ojców mową:  
Com złożył w pięknej jak wasza kranie,  
I w takiej latka i w takiej godzinie —  
O! jabym długo, jeszcze długo, długo,  
W wasze czarowne wgłądał się oczęta;  
Ale uchodzą zbyt drogie momenta —  
Oto! tam czarną krew popłynię strugą,  
Tam Ammonitów niezliczone roty,  
W ogromne miasto usłały namioty —  
Tam to mój duchu zagrzmij w wszystkie gromy!  
Bóg cię nie na to w pieśni udarował,  
Byś je na krasę dziewcząt przemarnował —  
Tam to wyniesion nad świata poziomy,  
Pod jęki sierot, wdów na placu boju,  
Zawtórz psalmami wiecznego pokoju.



Niechajże trada do  
 Siana, słońce;  
 Szyrzej, roztoczą się szyrzej,  
 I w potopie całe kraje.  
 Postrach, ruina dla świata,  
 A im wola wyuzdana;  
 Ni pod słońcem dla nich pana,  
 Ni na ziemi nie ma brata.  
 Wały wściekle, zapienione,  
 Gdzież się pędzą, w jaką stronę?  
 One nie wiedzą, och i ja nie wiem!  
 Ale ja wiem, gdzie ta wrzawa,  
 Tysiącami gromów godzi;  
 W jaką stronę ta kurzawa,  
 W kłęby, słupy się rozehodzi:  
 To na mordy, to na wojnę,  
 Idą, ciągną tłumy zbrojne.  
 Ludzie — mrówki, gąsienice!  
 Tak po zagrodach domowych,  
 Rozpełzną się w okolicy,  
 Że ich nie dojrzeć z za liści palmowych —  
 Cóż tam gwarzą, o zdźbło trawy,  
 Takie ważne toczą sprawy;  
 O garść ziarna tyle zwady,  
 Tyle przekleństw, tyle zdrady:  
 Dniem i nocą z krwawym potem,  
 Przekopują się za złotem,  
 A każdy światem dla siebie,  
 Myśli i czuje dla siebie!

XII.

*Pochód Izraela.*

Wiatr gwałtowny, wiatr straszliwy  
 Zrywa się, rzuca w przestwory;  
 Gniewny, wściekły, wiatr burzliwy  
 Zaszumił, zawył; zaszumiły bory.  
 I wypuści się dołami,  
 Przed nim cedrów las upada —  
 I puści się za chmurami,  
 Przed nim chmur pierzchają stadą —  
 A on lotem huragana  
 Przewala się, buja, lata;  
 Ni pod słońcem nie ma pana,  
 Ni na ziemi nie ma brata.  
 Wiatr groźny, nieścigniony,  
 Gdzież on leci, w jakie strony?  
 Och! on nie wie, i ja nie wiem!

Burzą się, wstają wały na wały,  
 Zakipią, zawrą bełkotem;  
 Zahuczą długim przeciągłym grzmotem,  
 I rozstrącają się o skały —

Idą wały, idą wyżej,  
 I miotają się na nawstaje;  
 Szyrzej, roztoczą się szyrzej,  
 I w potopie całe kraje.  
 Postrach, ruina dla świata,  
 A im wola wyuzdana;  
 Ni pod słońcem dla nich pana,  
 Ni na ziemi nie ma brata.  
 Wały wściekle, zapienione,  
 Gdzież się pędzą, w jaką stronę?  
 One nie wiedzą, och i ja nie wiem!  
 Ale ja wiem, gdzie ta wrzawa,  
 Tysiącami gromów godzi;  
 W jaką stronę ta kurzawa,  
 W kłęby, słupy się rozehodzi:  
 To na mordy, to na wojnę,  
 Idą, ciągną tłumy zbrojne.  
 Ludzie — mrówki, gąsienice!  
 Tak po zagrodach domowych,  
 Rozpełzną się w okolicy,  
 Że ich nie dojrzeć z za liści palmowych —  
 Cóż tam gwarzą, o zdźbło trawy,  
 Takie ważne toczą sprawy;  
 O garść ziarna tyle zwady,  
 Tyle przekleństw, tyle zdrady:  
 Dniem i nocą z krwawym potem,  
 Przekopują się za złotem,  
 A każdy światem dla siebie,  
 Myśli i czuje dla siebie!



Niechajże trąba do boju zawoła —  
Ścisną, stłoczą się do koła;  
Zbiegną się, zwałą w nieprzejrzane zgraje,  
Niby w jednego zrosną się olbrzyma —  
Olbrzym się szerzej wyteżą, wydyma,  
I nad potwory, potworą powstaje:  
Głów ma sto tysięcy, i ust sta tysiącem,  
Ryknie w tyleż strasznych głosów;  
I z rąk tyluż, tyle ciosów,  
Wypuści za wrogiem drżącym —  
I szeroko zaległ pola,

Idzie — a kopij las nad nim szumi;  
A jedno czucie, myśl, żądza i wola,  
W stu tysiącach serc się tłumi.  
To na nieprzyjaciela,  
Idą syny Izraela —  
A z sławy, męstwa najstarszy w narodzie,  
Syn przeznaczenia, Jefe im dowodzi.  
On na ich przedzie —  
A z nim łuk, dzida, szabla wierna słuźka,  
Co walecznych tylu głowy,  
Pod końskie zmiotła podkowy.  
On ich na bój wiedzie —  
A przy nim stałość, co mu do podnóżka,  
Rzuciła wszystkie zgrzyzoty,  
Wygnańca, wzgardy, sromoty,  
Na trzykroć silniejszego on ich wiedzie wroga —  
A nad nim duch Boga

Już Manassesa, Galaat zagony,  
Minęły, przeszły rotę wojowników —  
A on do ziemi ciągle pochyłony,  
Zda się nie słyszeć ich hucznych okrzyków.  
Już się widnieją wdali Masfy mury —  
A on milczący, ponury,  
Jeszcze nie wznosi zadumanej głowy:  
Sam z sobą tajnej nie kończy rozmowy.  
I w głębie swego wpatruje się ducha,  
I serca bicia niespokojne bada:  
Czy ztąd przyszłości głosu nie podstucha,  
Czy mu przecuciem serce nie zagada;  
Ale daremnie on w ich głębiach śledzi,  
Ni ztąd, ni ztamtąd żadnej odpowiedzi.  
Patrzy i słucha — a w sercu milczenie,  
W znękanym duchu obawa, wątpienie.  
O! niechaj człowiek do niebios dosięga,  
Wyniosłych myśli i uczuć polotem;  
Ale gdy los go w jedno jarzmo wprzęga,  
Z niedolą zlaną krwią, łzami i potem;  
I zawsze, między nim a miłym światem,  
Staje szatanem lub katem, —  
O wtenczas! kiedy przyjdzie do dzieł chwały,  
On będzie zawsze niepewny, nieśmiały.  
Jefe się miota, wyrывa sam z siebie,  
I w ludzi, wieków zapuszcza się dzieje;  
Obiega myślą po ziemi i niebie,  
Ich zgubne, świetne, pamiętne koleje;  
I wysilony, w końcu z siebie zwleka



Pychę i próżność, zaslepienie człeka,  
 Świętą pokorą, skruczą upojony,  
 Przed swoim stwórcą pada na kolana.  
 »O wszechmogący, wielki, nieskończony!  
 »Nad ciebie nie masz drugiego mi Pana,  
 . . . . .  
 »Wtenczas co tylko ze drzwi mego domu,  
 »Na moje wyjście spotkanie;  
 »To na ofiarę będzie tobie Panie,  
 I rzekł, i duchem boskim pokrzepiony,  
 Powiódł lud zbrojny w nieprzyjaciół strony.

XIII.  
 Bitwa.  
 Stoją dwa wojska, niby wojska trupów,  
 Tak one blade, nieme, nieruchome:  
 Niby do ziemi siły niewidome,  
 Tyle kamiennych wmurowały słupów:—  
 Ni szelestu, ani ruchu,  
 Ani głosu, ani ducha.  
 Ale popatrzcie im w oczy,  
 Ile życia tam się tłoczy!  
 Jak tam nienawiść, zemsta, rozpacz wściekła  
 Pali się we krwi serdecznej zapiekła!  
 Stoją dwa wojska, dwa zbrojne narody —  
 Za nimi takie zamożne wsie, grody!  
 Tam niezmierzone, bogate zagony,  
 W złote się bujne rozścielają plony;  
 Tam sady ledwo zruca strojne szaty,  
 Znow się ubiorą w też owoce, kwiaty;  
 One to znają — Któż nie zna swej ziemi?  
 Komuż nie miło w rodzinnej zagrodzie,  
 Z kochaną żoną, dziećmi lubemii,  
 Przeżyć swe lata w pokoju i zgodzie?  
 One to znają — a jednak w godzinę,  
 Sparły się razem na jedną równinę.



Tu nie masz zgody — precz niewieście żale!

Tu pole śmierci, odwadze i chwale:

Tu krwi, krwi jeszcze i krwi pójdą rzeki,

Tu głów, tułowów stosy legną wałem;

I będą dla nich w najpóźniejsze wieki,

Wystawać niby granicznym przedziałem.

Stoją dwa wojska, dwie żelazne ściany —

I czemuż piekło, środkiem ich w bałwany

Ognistej powodzi,

Nie buchnie i nie rozgrodzi,

Gniewem Przedwiecznego?

I czemuż wszystkie burze od biegunów,

W jedną chmurę się nie zleją;

Ile głów tyle piorunów,

Nie cisną razem na ziemię:

Na tych i tamtych mężobójcze plemie.

O nie — od mieczów, własnych strzał niech giną,

Niechaj się rąbią, rozdzierają sami:

To najzaciętsze wrogi przed wrogami,

Nieobejrzaną ciągną się równiną;

To za krzywd, obelg lata niezliczone,

Przyszły się krwawo rozplącać dwie strony:

To Izraelici —

A to Ammonici —

I zagrały trąby, rogi,

I zwarły się tłumne wrogi;

I bój poszedł dziki, krwawy,

Posród huk, szczęku, wrzawy;

Otoczył się trupów górą,

I nakrył się kurzu chmurą.

»Czyją krew wypiją rzeki,

»Czyje kości wiatr pogrzebie;

»Chwała temu z wieków w wieki,

»Chwała na ziemi i niebie.«

Dalej dzieci Jeste woła,

I w tył, naprzód, w lewo, w prawo,

Ciska rotę i potrąca;

Roztoczy się lawa wrząca,

To się skupi łuną krwawą.

A sam straszny, niezbadany,

Pośród przekleństw, pośród jęków,

Z podniesioną stoi ręką,

Niby z piekiel duch wyzwany:

Takie ognie z pod przyłbicy,

Ciskają wielkie zronice!

Za nim duszo wznos się, rosnij,

Boju szerzej, jeszcze głośniej!

I bój idzie wścieklej, śmielej,

Lasem kopij, szabel błyszczycy,

I gradem strzał, grotów świszczycy,

I pożarem się rozścieli.

Niby morza wzdęte wały,

Pędzą męże, wozy, konie;

Jeden szereg we krwi tonie,

A za nim drugie wałą się oddziały.



**XIV.**

*T r y u m f.*

Dziwna moja czarownico,  
Swawolnico, ty zwodnico,  
Nieujęta, dzika, strojna,  
Wyobrazni niespokojna!  
Kto ci tyle siły daje,  
Że w tak dale sięgasz kraje?  
Patrz w koło mnie, jak tu brudno,  
Jak w mem sercu tęskno, nudno!  
Niby w sztuki się rozrywa,  
Potem zrasta się powoli;  
Znowu piecze, znowu boli,  
Ogniem, jadem się rozlewa.  
Niby z piersi potępieńca,  
Złego wroga, czy szaleńca,  
Wyrwane i w moje łono,  
Na kaźń, na rozpacz ciśnięte,  
A ty zawsze hoża, młoda,  
Drugim słońcem dla mnie wschodzisz;  
Czy to burza, czy pogoda,  
Ty obtaczasz mię obwodzisz,  
Wyższych duchów milionem,  
I nadludzi jasnem gronem.  
Tak to, gdy duszę groźne przeznaczenie,

Nienawiść ludzi, czy ich zaślepienie,  
Morze, pustynia, zardzawiała krata,  
Od jej młodego odpycha ją świata;  
I ona wtenczas dla niego rdzawieje,  
Jak to żelazo nieugięta, twarda;  
Jak świat nieczuła, samoluba, harda:  
Siebie, i swoje roskosze, nadzieje,  
Bole, troski, w własnym grobie,  
Zakopuje sama w sobie.  
I jak fenix z swych popiołów,  
Potem można znów się budzi;  
Ale nie dla łez padołu,  
Nie dla współżyjących ludzi.  
I wzywa widziadeł tłumi,  
Od przeszłości i przyszłości;  
Te dla zemsty, tę dla dumy,  
Dla przyjaźni i miłości.  
I widzi — tam miasta w ruinie,  
Tam strwożonych biegną zgraje;  
Tam w płomieniach gród wystaje;  
A tam na pustej równinie,  
Mieczów, strzał, pancerczów kupy,  
Rozsypane między trupy.  
Jak całe stały, walczyły zastępy,  
Tak i poległy z bezsilną rozpaczą;  
Tylko nad niemi głodne wilki, sępy  
Kraczą i wyją, i wyją i kraczą.  
Otoż wam Ammona syny,  
Pieśń tryumfu, czy słyszycie?



Czy widzicie jak tam chmurą,  
Cós się toczy żywym borem,  
I ton jakichś pieśni chórem  
Idzie za nim dołem, górą?  
Ach to ludzie! lecz ich nogi  
Waszym mózgiem, krwią zbryzgane,  
W wieńce głowy ich ubrane;  
To zwycięzcy, wasze wrogi.  
I przechodzą przez równiny,  
Izraela mężne syny.  
Ach! jakbym radość, co im z oczów strzela,  
Chciał przelać w serce, a z serca do mowy!  
Lecz ten co nigdy nie zaznał wesela,  
Czyż wiernie odda dzwięk obcy, tak nowy?  
Czyż słońce kiedy w domek nieboszczyka,  
Dorzucić zdoła choć iskrę promyka?  
Czyż kiedy morskie odbiły głębiny,  
Skoczną piosenkę wesołej drużyny?  
Ach i mojemu nie odbijać oku,  
Z cudzego szczęścia wykradzione światło;  
Kiedy się własne w gorzkich łez potoku,  
Tak bez powrotu, tak dawno rozpadło!  
I czemuż choć raz zgrzybiałej tęsknoty,  
Marą zwyciężkiej nie zabawić cnoty?  
Oto wódz jedzie na narodu czele,  
Ileż wiekości, otacza go sławy!  
Oto mąż dzielny, oto Jefte prawy,  
Drzyjcie Molocha, Baala czciciele!

W worze, w gęstej włosiennicy,  
U progu pańskiej świątnicy,  
On długo prochem zasuty,  
W łzach się omywał pokuty.  
O Jefte! Jefte! i komuż nad ciebie?  
Głęboko u nóg twych w ziemi,  
Gdzieś tam w niedojrzanej ciemi,  
Ludzi dostojność, sława, cnota ich się grzebie.  
O wielki człeczce! ty marne naczynie,  
Z podłej gliny ulepione;  
Ty listku, proszku w dolinie,  
Nad proch, zgniliznę wzniesiony,  
Któż z synów ziemi, i któż z nich nad ciebie?



*Powitanie Jefeego.*

Szły dnie za dniami, za niemi tygodnie;  
A ja z szaloną namiętnością w boju,  
Ostatnie resztki odwagi, pokoju,  
W jej żar trawiący rzucałem niegodnie.  
Ach ta namiętność okrutnie, zbojecko,  
Posłusznem sercem targała jak nicią!  
Ach, tak nieznacznie, tak chytrze, zdradziecko,  
Obludnych wdzięków złowiła mię siecią!  
I dotąd więzi, gryzie, męczy, pali;  
Jakby me serce z kamienia czy z stali,  
Mogło się razem opierać złym losom,  
Samemu sobie, i jej zgubnym ciosom.  
Myśli me, myśli, gdzież wasz lot sokoli?  
Gdzież pierworodnych uczuć ideały?  
Ja ograbiony z własnej siły, woli,  
Samemu sobie obcy, odziczały;  
Chciałbym się rzucić za bytu granicę,

Już duch nastrajam, wyprężam zrenice —  
I oslepiiony, obwiedziony mrokiem,  
Z jej się ustami, z jej spotykam okiem.  
Czyż nigdy końca nie będzie tej męki?  
Nigdyż nie wyjdę z tej przepaści szału?  
Wy, boskie iskry młodego zapału!  
O wy, muzyki harmonijne dźwięki!  
Lejcie się, lejcie na serce znękanę,  
Wam me westchnienia, wszystkie łzy oddane!  
Jak słodko tęsknej duszy pustelnika,  
Gubić się, tonąć w marzeń labiryntcie!  
Płynicie marzenia, moje dzieci płynicie,  
Za wami rokosz, szczęście niewolnika!  
I tyż o piękne dziewczę Izraela,  
Znowu mię witasz twego przyjaciela?  
Jak lubo z łona niewiernej pieszczoty,  
Nad nierozumu, obłąkania szczątki  
Wzniesć się, i jeszcze odżywić pamiętki  
Piękności, wiary, poświęcenia, cnoty!  
I jeszcze uczuć tak wyniosłe, tkliwie,  
Jako się czuło w owe pierwsze lata;  
Kiedy po życia tańczyło się niwie,  
Gdy z każdej twarzy jaśniała twarz brata.  
Jakże mi witać Jerychonu różę,  
Na mojem niebie, tę jedyną zorzę?  
Po nad widziadeł zasępionych zgraje,  
Ona mi tylko tak jasno wystaje,  
I żyje dla mnie życiem mego życia,  
Mój duch, mój anioł, kochanka, dziewica.



Z za góry echa wesolutkie tony,  
Wiodą przez głuche, spustoszone kraje,  
Wiodą i niosą głosik wypieszczony,  
Przez ciche doły i palmowe gaje.

Cytry, arfy i bębenki,  
Na wyprzodki z dźwięków w dźwięki,  
W skoczne tańce się zlewają,  
Rozlewają, rozbiegają.

Ach! kto żyje w bożym świecie,  
Do mnie biecicie, do mnie lećcie;  
Zakłaśniemy, wykrzykniemy,  
Bohatyra pozdrowiemy.

Do mnie z wszystkich ziemi krańców,  
Tu do śpiewek, tu do tańców,  
Swego zbawcę pozdrawiajcie,  
Mego ojca powitajcie.

Czy słyszysz wodzu, ojcze nieszczęśliwy,  
Czy wiesz z ust czyich te wesole śpiewy?  
O! on je słyszy — i strach, przerażenie,  
I gniew, i rozpacz, podziw, rozrzewnienie,  
To mu płomieniem cisną się w zrenice,  
To bladą śmiercią wystąpią na lice.

A polotne, żwawe tony  
Coraz huczniej brzmia i głośniej;

Coraz luby głos donośniej,  
Rozlega się w wszystkie strony.

»Swego zbawcę pozdrawiajcie,

»Mego ojca powitajcie.«

I w sukience lilijowej,

W wianku, w przepasce różowej,

Lekka, zwinna jak ptaszyna,

Pokazuje się dziewczyna.

Potoczyste, skoczne kręgi

Lecą, wiją się przez błonie;

Na wiatr nóżki, kwiatki, wstęgi,

W ogniu oczki, twarz i skronie —

Coraz widniej, coraz chyżej,

Coraz bliżej, bliżej, bliżej.

Czy widzisz wodzu, ojcze nieszczęśliwy?

O targaj włosy, klnij los niegodziwy!

To twoja córka. — Najlichszy z żebraków,

Czci twej wysokiej nie chciałby oznaków.

To twoja córka, twe dziecko jedyne —

Jak jedno słońce u Boga na niebie,

Tak ona była na ziemi u ciebie.

Przeklinaj dzień ten, okropną godzinę,

W której . . . ty pomnisz owe święte śluby —

Ty ją mordujesz zbójco, ojcze luby!

To krew krwi twojej, to dusza twej duszy —



Niechże ci sława teraz łzy osuszy,  
Przed tobą zbrojnych niezliczone szyki,  
Rozkaż — twe słowo, jedyne skinienie —  
I na kraj ziemi niosą spustoszenie.  
U nóg twych wdzięcznej ojczyzny okrzyki —  
A ty u śmierci, potępienia progę,  
Bluznisz twym losom, naturze i Rogu,  
Twórco! czyż na to w twoich łask promienie,  
Tak pysznie stroisz duszę śmiertelnika;  
By przerodzone w piekielne płomienie,  
Taką boleścią objęły grzesznika?  
O przebacz, przebacz! popiętrzone fale  
Przed tobą cichną na wód oceanie;  
I grzmoty ludzkich namiętności Panie,  
W skruchy, pokory rozwodzą się żale.  
On na kolana upada,  
Nie jęczy, w twoich wyrokach nie bada;  
On w twojej woli wszechmogącej, świętej,  
Niedostrzeżone dla ludzkiej zrenicy,  
Przeczuwa dzieła wielkiej tajemnicy,  
Nicogarnione, cnda niepojęte.  
Dziewcze kochane umierać ci trzeba!  
To wola ojca, ojczyzny i nieba —  
Pożegnaj teraz prześliczną urodę,  
Dziewicznych latek niewinną swobodę!  
Ginać ci trzeba pod nożem Lewity —  
Za wolność ziomek twych braci,  
Za wytępienie złego Ammonity,  
U stóp ołtarza twoja krew zapłaci.

Gołąbko moja! pierzchliwa owieczko!  
Mój ty zaledwo rozkwitły kwiateczku!  
Ginać ci trzeba tak prędko, tak rano,  
Taką nieludzką, śmiercią niespodzianą!  
Ona posłuszna, cicha jak ofiara,  
W niebie jej Miłość, Nadzieja i Wiara.  
O wodzu, ojczy! o Przedwieczny Panie!  
Niechaj się święta wola wasza stanie;  
Tylko dozwólcie przez doliny, błonie,  
Niechaj się przejdzie w towarzyszek kole;  
W weselnej sukni, w dziewiczej koronie,  
Niechaj popłacze na swą biedną dolę.

Oh! tak mi przydro, tak tesno, boleśnie,  
Kochaj się serce moje!  
Oh! do się z kłosem, rozstawać tak wesele,  
Przynie, o pięknie jak chłope!  
Jakie tu pięknie, rozkosznie, wesoło!  
Hej tu kraso, pogodny!  
Hej tu skarbow, cudów rozruszono.  
Prześlizny, mój świecie młody!  
Ściele się, ściele się, ściele się, doliny,  
Bujnie, praznie rozkwitajcie!  
Cicho, powolnie, ostanie kochany,  
Mojch latek upytajcie!



**XVI.**

*Pożegnanie i śmierć Córki Jęstego.*

Ze mną łyż moje, ze mną me westchnienia,  
Gdzie się biedna nie powrócę;  
Za mną, przedemną, w koło śmierci cienia,  
Kędy oczyma nie rzucę.

Och! tak mi przykro, tak tęskno, boleśnie,  
Rozbijaj się serce moje!  
Och! bo się z życiem, rozstawać tak wczesnie,  
Płyńcie, o płyńcie łez zdroje!

Jakże tu pięknie, roszkosznie, zielono!  
Ileż tu krasy, pogody!  
Ileż tu skarbów, cudów rozrzucono,  
Prześliczny, mój świecie młody!

Ścielcie się, ścielcie pogórki, doliny,  
Bujnie, pysznie rozkwitajcie!  
Cicho, powolnie, ostatnie godziny,  
Moich latek upływajcie!

Dłużej, o dłużej zabaw się na Niebie,  
Szczerozłote słońce moje!  
Niechaj się jeszcze napatrzę na ciebie,  
Niechaj żal gorzki ukoję.

Głos zamilkł, stróny arfy zamilczały,  
Zamilkły echa rozbite o skały;  
Tylko nie milczy serduszek dziewczyny.  
Idą powolnie ostatnie godziny —  
Ono się z łona drżącego wyrzywa,  
I znów się w śpiewie żałobnym rozlewa.

Sny moje złote, o sny ukochane!  
I gdzież wasza obietnica?  
Jam w was wierzyła, jak w księgi pisane,  
Ja nierozumna wietrzniça!

Ledwo bywało, przymrużając oczy,  
I tuż gołąbka u boku;  
I tuż gołąbek, w pół ciemnej przezroczy,  
W pół jasnym widni się mroku.

Gołąbek grucha, z gołąbką się pieści,  
W koło się kłania i wita,  
Na coś się żali, skrzydełkiem szeleści,  
Czegoś prosi, o coś pyta.



I ja myślałam nie w jeden poranek,  
I kiedyż, i z jakiej strony,  
I do mnie wierny przyleci kochanek,  
Mój gołąbek ulubiony?

O nim myślałam poranki, wieczory,  
Za nim i tęskno i nudno;  
On nie przyleciał gołąb jasnopióry,  
W pustynię dziką, odludną.

On nie przyleciał do samotnej chatki,  
Nie nawiedził oblubieniec;  
Schnijcie, o schnijcie me nadobne kwiatki!  
Nie dla mnie weselny wieniec.

Nie mnie uprzejme powitają swaty,  
Ślubne družek korowody,  
»Wyjdź narzeczona strojna w śnieżne szaty,  
»Oto narzeczony młody!« —

Nie mnie Aniołek wyciągnie rączęta,  
Na mojem nie usnie łonie;  
Nie mnie kochance, szczęsnej matce, żonie;  
Wglądać się w jego oczęta.

Na mnie mogiła czeka otworzona,  
Nieszczęsna moja godzina!  
Do jej zimnego przytule się łona,  
Ja biedna, słaba dziewczyna.

Różé, lilie, wy wszystkie kwiateczki,  
Użalcie się na me losy,  
W ranki, wieczory, po mnie kochaneczki,  
Zapłaczcie kroplami rosy.

Głos zamilkł, stróny Arfy zamilczały,  
Zamilkły echa rozbite o skały:  
Ale w mej duszy jeszcze nieskończony,  
Brzmi on przeciągły, cichy, osłabiony.  
Tak i ostatnie ulubionej słowa,  
Na wieki pamięć kochanka zachowa —  
I w gronie pięknych, gdy chóry weselne,  
W huczne, huczniejsze rozwiódą się tony;  
One się ozwą całe, nieśmiertelne,  
Jakby dziś jeszcze były wyrzeczone:

»Nieszczęsna moja godzina,  
»Ja biedna, słaba dziewczyna.« —  
Serce mu zamrze w piersi zakrwawionej,  
Będzie mu głucho, i w pośrodku ciszy,  
Nic nie zrozumie, i nic nie usłyszysz,  
Tylko ostatnie słowa ulubionej:

»Nieszczęsna moja godzina,  
»Ja biedna, słaba dziewczyna.«  
I z mej pamięci dziewczę ulubione,  
Nigdy nie wyjdą twe śpiewy żałośne;  
I ja nieszczęsny w pierwszej życia wiosnie,  
Jak ty, do grobu żywcem potrącony;  
Jeżeli kiedy śmiem jeszcze odżywać,  
To tylko prawem, przemocą upióra;



Nie na to, żeby wysysać krew ludzi,  
Lecz żeby własną ze łzami wylewać.  
Pijcie je bracia, póki jeszcze pora,  
Dopóki jeszcze nieboszczyk się budzi.  
Ja wam wyleję na rodzinne kraje,  
Piosenek mętne i jasne ruczaje:  
Nudne, żałobne, jadami zaprawne,  
Dzikie, nieznośne jak dnie potępienia;  
Żywe, polotne, rokoszne, zabawne,  
Jak dnie fortuny zmiennej oblubienca.  
Dziewcze kochane! ciężkie twoje losy!  
Lecz czyż nierównie okropne cierpienia,  
Tego, na kogo Hydra przeznaczenia,  
Najjadowitsze wyzionęła ciosy?  
Kto z pomieszanych, sprzecznych uczuć tłumem,  
Z rozbitem sercem, zbląkanym rozumem,  
Idzie znękanym bez iskry nadziei,  
Przez długie życia, rozpaczy koleje,  
Z dziwactw do dziwactw, i zmęki do męki;  
Zawsze też słabość, i wściekłość i jęki —  
A jego serce tak dobre, tak tkliwe,  
Tak by kochało serce nieszczęśliwe!  
Płacz, o płacz drogie niewiniątko moje!  
Zapłaczmy gorzko nad sobą oboje!  
Trzcinko złamana powiewem wietrzyka,  
O gdybyś mogła przejrzeć w przyszłe lata!  
Tambyś ujrzała cuda męczennika,  
Krew najświętszego zbawiciela świata.  
Przyjdą te czasy — Niebo się zaciemi,

Trzykroć dreszcz przejdzie po struchlałej ziemi:  
Za coś mię opuścił, o ojczy, mój ojczy!  
Głos z krzyża boleści ozwie się i skona.  
Jednorodzonego, z przedwiecznego łona,  
Jehowa oddaje w ręce mężobójcze:  
To Bóg człowiek, piekłu ofiary wydziera,  
I sam wśród ich przekleństw, najgrawań umiera. —

Umieram biedna, któż mi dopomoże,  
Przenieść okropne, przedśmierne cierpienia?  
Do ciebie moje ostatnie westchnienia,  
Mój miły, dobry, o mój wielki Boże!

Mój wielki Boże! tobie łzy wylewam,  
Z łzami wdzięczności synów Izraela;  
Za ich pieśniami tryumfu, wesela,  
Tobie pieśń sławy, dziękczynienia śpiewam.

Ty mi dopomóż odejść z tego świata,  
Cicho bez skargi, bez żalów zbytecznych;  
Tam na niebiosach w mieszkaniach przedwiecznych.  
Znowu zakwitną moje młode lata.

O śpiewaj Panu duszo, serce moje!  
Bo nad niebiosa jego wola święta;  
Bo łask wylewa nieprzebrane zdroje,  
.....



Na wszystkie strony żegnaj serce moje,  
Wszystko, co tobie było lubo, miło;  
Co ucieszyło, co cię zabawiło,  
W dnie promieniste, rokoszne dnie twoje.

Rzucam was góry, lasy, okolice,  
Co się gubicie pod chmurną zasłoną;  
I was mi wiernych towarzyszek grono,  
Żegnaj was stokroć kochane dziewice.

Ojczy, moj ojczy, gdzieżes me kochanie!  
Czemuz nie spieszysz do twego dziecięcia;  
Och, na ostatnie jeszcze pożegnanie,  
Jakbym ja chciała paść w twoje objęcia!

Głos zamilkł, stróny arfy zamilczyły,  
Zamilkły echa rozbite o skały —  
A córkę Jęfity, dziewic wiedzie grono,  
I wtórzy pieśniom, i razem łyzy leje —  
I im w przyszłości nieznanie nadzieje,  
Pod grubą losu tają się zasłoną.  
I kto wie? może i im w życia kwiecie,  
Przyjdzie się żegnać z tem co lubo miło;  
Co ich na Bożym ucieszyło świecie,  
Rzucać na wieki przed ciemną mogiłą.  
Przejdą równiną i powrócą w drugą,  
Tu i tam, białą zawidnią się smugą;  
Górami, to skałą, zasłonią się gajem,

To znowu staną nad przepaści krajem:  
A arfy ciche i żałosne tony,  
Wciąż się we wszystkie rozlegają strony;  
A nad urwiska, zewsząd nad parowy,  
Ciekawych tłumów wyglądają głowy.  
Patrzcie, o patrzcie! to za was ofiara, —  
Takby wy sami, wasze córki, syny  
Powinny ginąć za śmiertelne winy;  
Jeśliby z niebios spadła słuszna kara.  
Patrzcie, już do niej podchodzą lewity —  
Świątyni Pańskiej otwarte podwoje,  
Kapłanów świetne bieleją się stroje,  
I nóż ofiarny, błyszczy się dobyty.  
Gdzież jesteś Jęfite, ty żelazny czleku?  
Jakby ci nie dość wszystkich nieszczęść było,  
Ledwoś je zdeptał — Już ci z nową siłą,  
W swych myśli, uczuć zagłębiony steku;  
W dumnej, namiętnej, niespokojnej duszy,  
Szukałeś nowej dla siebie katuszy, —  
Aż w wielką, jasną nadzieję spływały,  
Aż się rozpaczy ogniem zalewały.  
Słuchaj że, patrzaj, oto cios ostatni!  
Ten jeden przenies, a będziesz szczęśliwy —  
Z łzami wdzięczności, z czią szeregi bratnie  
Otoczą w koło twe lata sędziwe —  
A odtąd z ludzi rad z samego siebie,  
Będziesz na ziemi, jak anieli w niebie.  
A on nie słucha — Z pomiędzy natłoku,



Ledwo schylone jęge dojrzyć skronie;  
Blady, zmieniony, w zamartwiałem oku,  
Ostatnia życia iskierka mu płonie.  
Ludzież to przy nim, czy kamienne słupy,  
Czy jego wrogów, tu zbiegły się trupy;  
By dzikim krzykiem, w wściekłym uniesieniu,  
Swego zwycięzcy uragać cierpieniu?  
On tego nie wie osłupiały, niemy —  
Takie to nie raz przejmują nas bole,  
Że nam nietylko pamięć, rozum, wolę,  
Szatańską mocą przytępia, zagłusza:  
Lecz nie uznajem, czy jeszcze żyjemy,  
Czy już nam ciało rozstało się z duszą.  
Gdyby też kilka, choć łezka jedyna,  
Na spiekle, wyschłe spłynęła mu lice —  
O jedną tylko on ciebie zaklina,  
Boże! choć łezkę daj jego zrenicy! —  
Wszystkich tryumfów, sławy bohatera,  
On się nazawsze wyrzeka, wypiera;  
Tę wdzięczność ludu, pieśni z łez zdrojami,  
Co się przed jego rozlały stopami,  
Nazawsze wyrwie z serca, i z pamięci;  
I wróci w życie nieznane, tułacze,  
Tylko niech jeszcze jeden raz zapłacze.  
Daremne prośby, nierozmysłne chęci!  
W twardą pierś bije, rękoma obiema,  
A łzy nie płyną, jednej łezki nie ma.  
I nagle w ręku kapłana nóż błysnął,

Za nim jęk słaby i krwi strumień prysnął;  
Chwieje się, pada ofiara zemdlona,  
I przed ołtarzem Przedwiecznego kona.  
I on, ów postrach możnego sąsiada,  
Pod nogi ziomek, ojciec jej upada;  
A za chórami, idą huczne chóry,  
A okrzyk ludu powtarzają góry —  
Upada Jefte, i bez czucia długo,  
U stóp świątyni leży jak umarły;  
Aż się łzy bujną puściły mu strugą,  
I oczy znowu do świata otwarły.  
Powstań o wodzu! precz niewieście żale!  
Czyliś już nie ten, co w nieszczęść nawale,  
Umiałeś sobą i drugimi władać,  
I przed potęgą losu nie upadać?  
Spójrzysz na naród, co jak zajrzeć okiem,  
Rozlał się w fale, głów, ramion potokiem;  
Wesel się jego swobodą, weselem,  
Tyś jego sędzią, ojcem, zbawicielem.  
Przejdzie potomność kiedyś po twym grobie,  
I smutna wspomni, zapłacze po tobie —  
Przeminą wieki, ludy, pokolenia,  
A ty żyć będziesz w krwi twej, w łez strumieniach;  
Żyć będziesz w długich, okrutnych cierpieniach,  
W sławie twojego wielkiego imienia.  
Ale cóż tobie? serce me cóż tobie?  
Jak byłoś zawsze samotne, nieznane,  
Tak niepoznane i nieopłakane,  
Zacichniesz w dawno pożądanym grobie.



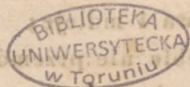
Czy pomnisz, kiedy wszystkie dobra ziemi,  
Na głos mój wstały przed żądzami twemi?  
I tyś wybrało z wyobraźni kraju,  
Z wszystkich najpierwsze, dziewczynę, kochankę.  
Pomnisz? i oto opuszczasz niebiankę,  
I we krwi własnej, topisz ją ruczaju.  
I cóż — w ziemianek teraz pójdziesz gronie,  
Szukać miłości, niewinności, wiary?  
O nie — nie tobie, na ich śnieżnym łożu,  
Najmilsze życia rozkwitają dary.  
I cóż — z pod ruin pogniłego świata,  
Pójdziesz że nową wywołać dziewicę;  
By chwilę, duszy umorzyć tęsknicę,  
A potem lubą oddać pod miecz kata?  
Serce swawolne, dzikie, uporczywe,  
Serce okrutne, czułe nieszczęśliwe!  
Wszystko, przed tobą, za tobą i w tobie,  
Będzie w boleści, rozpaczy, żałobie —  
Przejdiesz, przemarzysz po ziemi i niebie,  
Aż się zanudzisz niesyte, schorzałe;  
Aż się zamęczysz nieme, otrętwiałe;  
Aż zabijesz samo siebie! —

## ZAKOŃCZENIE.

Tęskno mi, lubo, przykro i wesoło —  
Jakichś w półciemnych, jasnych żądz tysiące;  
Budzą się zmienne, różne, pałające;  
Kupią się, burzą i wschodzą na czoło.  
Chciałbym coś mówić, wyrzekać i śpiewać,  
Żalić się, płakać, urągać i gniewać;  
Chciałbym się cieszyć, coś ścisnąć, całować,  
Przeklinać, deptać, szarpać i mordować.  
Boże mój! czemuż w żywych słów potoku,  
Nie mogę wyllać tych uczuć natłoku?  
Za coż gdy serce, ten wróg pokojowi,  
Tak się rozrywa, tak ścisną, goreje,  
Tak się rozbija, ożywa i mdleje;  
Że ledwo samo z siebie nie przemówi:  
A moje usta milczą oniemiałe,  
Jakby zakute, martwe, skamieniałe! —  
Lub jeśli w końcu po pracy daremnej,  
Wybąkną słówko — to słabe nikczemne;



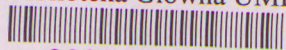
Jak i to echo, co tam gdzieś w pustyni,  
Ozwie się próżne i w ten moment ginie.  
O ziemio matko! czyż nagie te głązy,  
Te karle lasy, bagna, mętne zdroje;  
Wszystkież to wdzięki i bogactwa twoje?  
O serce moje! czyż nędzne wyrazy,  
Tych suchych, słabych, marnych rymów sploty,  
Sąż to twych uczuć najdroższe klejnoty?  
To liche mienie, ha! to plód wyrodny,  
Ni jednej iskry twych ogniów niegodny! —





321

Biblioteka Główna UMK



300049495302

337

1.200

A144 97

(8)

2 t. 1 b.



Biblioteka  
Główna  
UMK Toruń

1260971

Biblioteka Główna UMK



300049495302



Biblioteka  
Główna  
UMK Toruń

1260971

Biblioteka Główna UMK



200040405302

